

# Sptacony dług



EDGAR WALLACE

# Sptacony dług

TŁUM. L. ON-RUT

## ROZDZIAŁ I. VERITY PRZYJMUJE PROPOZYCJĘ

— Ależ ja pana nie kocham ani pan mnie — rzekła Verity cichym głosem, z wyrazem zarzutu w smętnych oczach — a takie małżeństwo byłaby to nie święta rzecz: straszna zbrodnia, której cały pański majątek nie zdołałby okupić.

Wstała.

— Proszę chwilę poczekać, bardzo o to proszę.

Usiadła z powrotem. W głosie Bella brzmiała prośba, niemal zamieranie.

Siedziała w milczeniu, podczas gdy on mówił. W połowie jego opowiadania wstała i zamknęła drzwi. Mówił już to pełen nadziei, już to z gorzkim wyrazem, aż światło na niebie zbladło i Verity mogła widzieć tylko ciemne kontury człowieka, który chodził tam i z powrotem po pokoju, mówiąc z rękami nerwowo gestykulującymi.

Było już całkiem ciemno, gdy ją żegnał. Wyszedł z nią bez kapelusza na głowie i wsadził ją do dorożki.

— Do jutra? — powiedział.

— Do jutra — powtórzyła. Podała mu rękę, którą podniósł do ust.

\*

Gold przyszedł do klubu Terriersów, aby spożyć kolację.

Zastał list pisany na maszynie i poznał charakterystyczne pismo Comstocka Bella.

Otworzył list i zaczął uważnie czytać. Przeszedł do wielkiej sali i przeczytał go jeszcze raz. Schował list z całą starannością do wewnętrznej kieszeni marynarki, z wyrazem zupełnego osłupienia na twarzy.

Wszedł do sali stołowej i zjadł pospiesznie, co mu się zresztą często w tych dniach zdarzało. Bywał bowiem bardzo zajęty, do tego stopnia, że nawet nie miał czasu na rozmowę z Helderem, który przytrzymał go za butonierkę w korytarzu po kolacji.

— Słuchaj pan, panie Gold, chciałem właśnie z panem pomówić.

— A ja właśnie z panem *nie* chciałem mówić. O cóż chodzi?

— Sądzę, że pana zainteresuje to, co panu chciałem donieść.

Gold westchnął ciężko.

— Pan jesteś dzisiaj setnym z rzędu człowiekiem, *I guess*<sup>1</sup>, który chce mi coś donieść, co by mnie zainteresowało. Prędko, panie Helder, nie mam bowiem wiele czasu.

Helder skłonił ku niemu głowę i zniżając głos, rzekł:

— Willettsa mają dzisiaj aresztować.

Detektyw rzucił na niego bystre spojrzenie.

— Kto panu powiedział... i co pan wiesz o Willettsie?

— Mniejsza o to, kto mi to powiedział, to w każdym razie zgodne z prawdą. Co do mnie, to wiem, że Willetts jest hersztem tej bandy puszczającej w obieg fałszowane bilety: hersztem bandy, która uprowadziła pańskiego przyjaciela Maple'a.

— Panu to wiadomo, a skąd?

W oczach Golda błyszczała ciekawość.

<sup>1</sup>*I guess* (ang.) — tu: jak sądzę. [przypis edytorski]

— To wszak całkiem jasne — ciągnął Helder dalej — Willetts jest skazany na fałszowanie pieniędzy. Ma biuro w mieście, które służy mu najwidoczniej jako płaszczyk, pod którego osłoną uprawia swój proceder. Oświadczam panu, że to jest zwyczajny oszust.

— Czy pan go zna? — zapytał Gold z zaciekawieniem.

— Widziałem go — odpowiedział — i przypominam go sobie z czasów, gdy był studentem w Paryżu i moim rówieśnikiem.

— Czy Comstock Bell był pańskim rówieśnikiem? — spytał Gold.

— Tak, a Bell i Willetts chodzili do tej samej szkoły. Willetts był spokojnym, słabowitym chłopcem w porze roboczej, ale za to w nocy był wcale żywy, a nawet gwałtowny. Zniknął z Paryża po wiadomym skandalu i odtąd nie słyszałem nic o nim. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że żyje w Londynie.

— I pan sądzi, że to on puszcza w obieg te banknoty?

— Jestem o tym przekonany — podchwycił Helder — jestem tego tak pewny, jak i tego, że Bell stał zawsze za nim.

— To jest absurd — powiedział Gold z naciskiem. — Bell jest człowiekiem niezmiernie bogatym. Być może, że dla jakiegoś szalonego kaprysu w młodości bawił się tym, lecz obecnie nie ma najmniejszego powodu do grania roli zbrodniarza. Skąd panu wiadomo, że Willettsa mają aresztować?

Helder potrząsnął głową, przy czym się uśmiechał.

— To pan musi sam wynaleźć — rzekł. — Wiadomo mi.

\*

Późną porą tej samej nocy przez Finsbury Square<sup>2</sup> szedł wolnym, kulejącym krokiem jakiś człowiek z lekka przygarbiony.

Mało ludzi było na skwerze i jedynym, który obserwował tego dziwnego przechodnia, był policjant będący na służbie. Czynił to jednak raczej z nudów aniżeli z chęci sumiennego dopełniania swego obowiązku — zwracania bacznej uwagi na wszelkiego rodzaju niezwykle okoliczności i osoby.

Człowiek ten zwracał uwagę swą ułomnością. Nosił czarny płaszcz, kapelusz o szerokich brzegach i długie czarne włosy, zaczesane z tyłu tak, że zwisały mu na karku, przez co przypominał muzyka.

Dośzedł do Broad Street<sup>3</sup> — o tej porze nocnej na całej ulicy nie było nikogo poza parą spóźnionych pieszych, którzy zmierzali ku stacji kolejowej — i skierował się ku brzegowi.

Gdyby ktoś zadał sobie trud śledzenia go, musiaby niemal się zdziwić, czemu obrał tak okrężną drogę, o ile jedynym powodem nie była prosta chęć zabicia czasu. Gdy zegar kościelny wybił jedenastą, znajdował się na obszernym placu za Giełdą Królewską<sup>4</sup>. W trakcie drogi przyłączył się doń jakiś człowiek, który czekał już na niego od jakiegoś czasu, powoli przechadzając się po chodniku Threadneedle Street<sup>5</sup>.

— Ach, Clark — przywitał go — nie masz listu?

Mówił po francusku.

— Nie, panie Willetts — odparł. — Czy ma pan dla mnie jakieś zajęcie?

Jego francuszczyzna była szkolna; poprawna w budowie zdania, lecz wymowa wyraźnie angielska.

Człowiek nazwany Willettem potrząsnął głową.

— Tej nocy... nie mam nic — rzekł.

— Był ktoś u pana — mówił Clark — i rozpytywał się o pańskie stosunki i zajęcia.

— Och! — niedbale odpowiedział — to się niejednokrotnie może przydarzyć. Powiesz im, że jestem za granicą. Nic poza tym?

— Nie, *m'sieur*<sup>6</sup>.

<sup>2</sup>*Finsbury Square* — plac w centralnym Londynie. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Broad Street* — ulica oraz okręg wyborczy w londyńskim City. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Giełda Królewska* — dawniej giełda towarowo-finansowa w centrum Londynu, aktualnie budynek mieszczący centrum handlowe. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Threadneedle Street* — jedna z ulic londyńskiego City, prowadząca do historycznego i finansowego centrum miasta. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*m'sieur* (fr. *monsieur*) — pan. [przypis edytorski]

— W takim razie dobranoc.

Człowiek w czarnym płaszczu oddalił się i pokulał dalej w kierunku Cheapside<sup>7</sup>.

Dwaj ludzie szli za nim. Nie mieli trudności w obserwowaniu go, albowiem ulice były zupełnie puste, a on szedł nader wolno.

Nie uszedł daleko ulicą Cheapside, gdy przejechała taksówka, której natychmiast dał znak ręką.

Jeden z obserwatorów wysunął się szybko naprzód i zrównał się z nim niemal w tej samej chwili, gdy podawał szoferowi kierunek jazdy.

Obrócił się ku swemu towarzyszowi z tyłu i rzekł szybko zniżonym głosem:

— Jedzie do ambasady amerykańskiej.

Przywołali drugą taksówkę.

— Jedź pan za tym wozem przed nami — polecił ten z nich, który wydawał się nieco tęższy — nie trać go pan z oczu.

Szofer dotknął ręką czapki i jechał za pierwszym w odległości jakichś sześciu jardów<sup>8</sup>.

Siedzący w drugim wozie zauważyli, że pierwszy obrał kierunek, który mógł ich zawieźć ku Park Lane<sup>9</sup>. Byli przygotowani na zmianę kierunku po stronie jadącego przodem, lecz ten nie dawał żadnego znaku. Na Piccadilly<sup>10</sup> człowiek w drugim wozie wysunął głowę.

— Stanie pan z tej strony, z pięćdziesiąt jardów od amerykańskiej ambasady, inaczej nam ucieknie — szepnął szoferowi.

Gdy zbliżono się do ambasady, pierwszy wóz obrócił się na miejscu i zwolnił bieg, jak gdyby w celu zatrzymania się.

Był to zreczny wybieg. Drugi wóz stanął zgodnie z poleceniem i jeden z siedzących wyskoczył z niego, by się rychło spostrzec, że światła ściganego wozu momentalnie zniknęły ze wzrastającą szybkością. Jechano przez różne arystokratyczne uliczki, których w tej dzielnicy jest całe mnóstwo, i ścigający z zapartym oddechem usiłowali nie tracić ściganego z oczu.

Stracili go wreszcie w wirze ruchu kołowego na Oxford Street i z ust silnie zbudowanego gentlemana w drugim wozie dobyło się siarczyste przekleństwo.

Wysiadł z wozu, płacąc szoferowi, i obaj, unikając lepiej oświetlonych ulic, skierowali się pieszo w swoją stronę.

— Dał nam szkołę jak się patrzy — rzekł ten z nich, który wydawał polecenia kierowcy taksówki.

Drugi mruknął coś niezrozumiałego. Był to małowówny, niegolony drab z blizną na podbródku.

— Wróćcie lepiej z powrotem — rzekł pierwszy i sięgnąwszy ręką do kieszeni, dał mu trochę pieniędzy. — Ja idę do starego.

Korneliusz Helder szedł beczynnym krokiem po Upper Brook Street, gdy w pół godziny po opisanym wyżej zdarzeniu ów silnie zbudowany mężczyzna przypadł do niego.

— Zgubiłem go — zagaił.

— Jesteś pan cymbałem — odparł Helder z dzikim wyrazem w głosie — prawdopodobnie pokazałeś pan też swoją wstrętną gębę wszystkim agentom policyjnym w Londynie.

— Daj pan spokój — przerwał tamten. — Zrobiłem dla pana dość w ostatnim czasie... za dużo nawet, mogę powiedzieć. W tym tygodniu dość strachu się nabawiłem, widząc rysopis w dziennikach.

— Nie ma się o co strachać — rzekł Helder. — Nie zdarzyło się to panu po raz pierwszy i mogli już pana rozpoznać.

— Ale ja nie chcę w ogóle być rozpoznany — odpowiedział tamten. — Na wspomnienie o tym drzę cały.

<sup>7</sup>*Cheapside* — jedna z głównych ulic centralnego Londynu, dawniej ośrodek handlowy. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*jard* — jard angielski równa się 0,914 m. [przypis tłumacza]

<sup>9</sup>*Park Lane* — główna ulica Westminsteru, londyńskiej dzielnicy o statusie miasta, na której terenie znajduje się m.in. Pałac Westminsterski — siedziba parlamentu brytyjskiego. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*Piccadilly* — ulica w Westminsterze, biegnąca między Hyde Parkiem a Piccadilly Circus, skrzyżowaniem, stanowiącym część centrum teatralno-kulturalnego miasta. [przypis edytorski]

— Wstydz się pan — zauważył Helder. — Pańskim zadaniem jest tylko skłonić tego starucha do tego, żeby nam raczył sprzedać swój materiał za jakąś cenę.

— Jestem nerwowo — przyznał drugi. — Słuchaj pan! — schwycił Helder za ramię — pan jesteś tu główną osobą, prawda? A gdyby nas tak przyłapali, mógłby nas pan wydostać?

— *I guess* nie — chłodno odparł Helder.

— W takim razie, na Boga, wsypię pana! — dziko zawył drugi.

— *I guess* nie — powtórzył Helder — ja o niczym nie wiem. Pan jesteś zwariowany, że się obawiasz, ale pan jesteś nim stokroć bardziej, skoro próbujesz mi grozić. Robię sobie z pana tyle — prztyknął palcami przy tych słowach. — Nie ma najmniejszych poszlak, które by mogły przemawiać przeciw mnie w sprawie zniknięcia tego starucha Maple'a. Nie będzie pan mógł pisać ani słowa.

W świetle latarni ulicznej ujrzał twarz tamtego. Kąpała się w pocie, przy czym usta drgały kurczowo.

— Ja nie miałem z tym nic do czynienia — nagle odezwał się. — Karol był posłuszny pańskiemu rozkazowi, on to zrobił. Zrobił to tak samo jak ja co do tego starego Golda. Pana przy tym również nie było, *I guess* nie!

Na szczęście szli całkiem bezludną ulicą. Głos mówiącego był uniesiony gniewem.

— Mam tego już dość — zakończył — dość mam tej gry. Świadkiem mi Bóg na niebie, że robię z tym koniec.

— To się nie sprawdzi — spokojnie wtrącił Helder.

— Tak, koniec — rzekł tamten podniecony — nie mam już z panem nic wspólnego.

Helder zaczął się śmiać, nie było potrzeby zmiany taktyki.

— Stajecie się religijny, wy! — rzekł. — Nie lubię słuchać tego rodzaju mowy z ust chicagowskiego człowieka jak pan, który szczyli się zawsze przydomkiem człowieka „silnych ramion”. Nie macie się czego obawiać, Billy — poklepał go po ramieniu — natomiast mamy widoki wielkiego powodzenia. Od dziś za dwa lata będziecie sobie mogli fundować najelegantsze lokale w Nowym Jorku i luksusowy samochód na przejażdżki niedzielne do Coney Island<sup>11</sup>.

Tamten nie dawał się tak łatwo udobruchać. Znalazł się w dziwnie obcym kraju o dziwacznych ustawach i borykał się z niesamowitymi jego siłami.

Helder musiał go dopiero uprowadzić do zacisznego kąta jakiegoś baru, gdzie tamten wreszcie odzyskał równowagę umysłu. Stał się nawet wesoły i rozmowny.

## ROZDZIAŁ II. NIEZWYKŁE ZAŚLUBINY

Są dni w życiu przeciętnego mężczyzny i przeciętnej kobiety tak jednostajne i tak niedające się odróżnić od innych, że człowiek nie może ich sobie przypomnieć lub wymienić choćby chwilowego zdarzenia z owych dni. Podobnie znów są dni, gdy każda chwila da się dokładnie oznaczyć jako chwila czy to tragedii, czy też wybitnych epizodów życiowych, wyróżniających się spośród całej reszty innych. Taki dzień dla wszystkich osób działających w naszym opowiadaniu stanowił czternasty maja. Przebieg jego możemy podać w niemal chronologicznej kolejności.

O godzinie siódmej rano Korneliusz Helder wyszedł ze swego mieszkania przy Curzon Street.

Był piękny wiosenny dzień, bez chmurki na niebie. Helder wyglądał na człowieka, który spędził noc bezsennej; twarz jego miała ów bezbarwny wyraz, jak u kogoś, kto spędza noc w niewietrzonych palarniach. A jednak Helder nie można posądzić o tego rodzaju eskapadę. Był starannie ogolony i ubrany.

Szedł wolnym krokiem w stronę Śródmieścia. Ulicę ożywiali o tej wczesnej godzinie jedynie przekupnie, mleczarze i zamiatacze ulic. Nieliczne sklepy, i to same mniejsze, miały podniesione okiennice. Na Regent Street<sup>12</sup> widział tylko spieszące kobiety i dziewczęta sklepowe z paczkami pod pachą, idące pieszo do swych zajęć.

<sup>11</sup>*Coney Island* — dzielnica rozrywkowa i mieszkalna na półwyspie będącym częścią nowojorskiego Brooklynu. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Regent Street* — główna ulica handlowa w dzielnicy West End w Londynie. [przypis edytorski]



Zastanawiał się z niejaką goryczą, jak Comstock Bell spędził ostatnią noc. A dziewczyna — gdzie mogła się znajdować? Kupiła bilet trzeciej klasy, zapewne jakiegoś robotniczego pociągu, by wziąć ślub z jednym z największych bogaczy Londynu.

Przebliski trywialnych refleksji przeszły mu przez myśl. Kupił ranną gazetę, jedną z tych, które zazwyczaj podają najświeższe wiadomości. Przerzucił wzrokiem wszystkie szpalty dziennika, aby stwierdzić, czy jest coś o aresztowaniu Willettsa. Nie było o tym żadnej wzmianki.

Więc Comstock Bell zamierzał wyczekać chwili ślubu i wyjazdu z kraju, zanim miał wykonać swój zdradziecki plan. Co za władzę miała nad nim ta dziewczyna? Na czym polega tajemnica tego nagłego ślubu? Nie widział jej od czasu, gdy ostatnio była u niego w biurze, a Comstock Bell nie należał do ludzi, którzy tracą głowę na widok przystojnej niewiasty.

Coś poważniejszego musiało tkwić w tym małżeństwie. Co to było takiego? Nie zdawał sobie sam sprawy ze swej ponurej miny, z jaką szedł szybkim krokiem po słonecznym trotuarze Regent Street.

O godzinie ósmej znalazł się w Green Park<sup>13</sup>, wciąż jeszcze zaprzatając swój umysł niezrozumiałą sprawą ślubu Bella. Musi znaleźć wyjaśnienie. Helder miał zazwyczaj rychle informacje; nie było dlań trudności w dowiedzeniu się, że ślub milionera miał się odbyć w Marylebone Parish Church<sup>14</sup>, a wyznaczony był na godzinę dziewiątą. Gold, Comstock Bell i dziewczyna mieli się spotkać w Great Central na śniadaniu. Odjeżdżali z Londynu do Europy pociągiem odchodzącym o godzinie jedenastej.

Nie odczuwał nic względem Verity Maple. Nie był ani zazdrosny, ani zmartwiony z tego powodu, że ta, która go nie znosiła, czuła do Bella dość sympatii, by wyjść niemal na zawołanie za niego za mąż. Miał swoją teorię, że w dziewięciu wypadkach na dziesięć najgorsze przypuszczenia odnośnie działań ludzkich się sprawdzają i tłumaczył sobie jej predylekcję prostym procesem porównywania jego własnego konta bankowego z kontem Bella, przy czym nie żywił względem niej nigdy zamiarów matrymonialnych i w ogóle zresztą nie myślał o małżeństwie.

Sądził, że spotka Golda, gdyż Green Park był ranną porą wiosenną ulubionym miejscem przechadzki detektywa. Gold był w wieku, w którym niełatwo zmienia się przyzwyczajenia. Helder spodziewał się, że spotka go spacerującego nad stawem, i nie zawiódł się w swym oczekiwaniu. Gdy Big Ben wydzwonił kwadrans na dziewiątą, Helder ujrzał Amerykanina, nadchodzącego z przeciwnej strony.

Golda nigdy nic nie zadziwiło; nie zdziwił się też bynajmniej, widząc Heldera. Przystanęli, by wszcząć rozmowę. Gold trzymał garść okruchów, które rzucał bezstronnie ptactwu wodnemu i wróblom.

— Pan będzie zapewne družbował? — rzekł Helder po jakimś czasie, zwracając się ku niemu z uśmiechem.

— Coś w tym rodzaju — odpowiedział Gold, nie odwracając wzroku i uwagi od wróbli.

— Co to ma oznaczać?

— Co? Ten ślub?

— To coś niespodziewanego, nieprawda?

— Wszystkie śluby są niespodziewane dla tego i owego — odparł Gold.

— Czy pan uważa, że będzie z nich dobrana para?

— Boże broń — rzekł Gold prędko i z namaszczeniem — jedyną parą, o której slyszalem, a której towarzyszył zgodny chór wszystkich ich przyjaciół i znajomych, będących zdania, że są stworzeni dla siebie, byli Adam i Ewa, lecz to było, zanim ja się urodziłem. Powinowatych dostają pary małżeńskie dopiero w pewien czas po zaślubieniu... kogoś do rodziny nienależącego.

Helder zaśmiał się. Jego nie było trudno rozśmieszyć.

— Pan to tak powiedział, jak prawdziwy uczonec — rzekł — czy pan stwierdził prawdziwość tego, com panu mówił o Willettsie?

<sup>13</sup>Green Park (ang. Zielony Park) — jeden z królewskich parków (ang. Royal Parks) w Westminsterze, w przeszłości teren rekreacyjny rodziny królewskiej. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>Marylebone Parish Church — XIX-wieczny kościół anglikański przy ulicy Marylebone w Londynie. [przypis edytorski]

Kobieta, Mężczyzna,  
Małżeństwo, Kondycja  
ludzka, Pieniądz

Gold skinął głową.

— Tak, ma być aresztowany tej nocy.

— Gdy Comstock będzie całkiem bezpieczny, co? — Helder wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Wie pan, nie szczycę się, że jestem jego ziomkiem.

Gold spojrział nań z ukosa.

— Nie słyszałem też, by on to czynił ze swojej strony — rzekł — w pewnych sprawach jest zamknięty w sobie.

Wyjął zegarek.

— Muszę już iść — powiedział — pan niedobrze wygląda.

— Oh, czuję się doskonale — odpowiedział Helder — cierpię tylko nieco na bezsenność.

— Winien by pan zająć się czytaniem literatury uszlachetniającej — zauważył Gold.

— Radziłbym panu przeczytać bardzo ciekawe dziełko, na które zwróciłem onegdaj uwagę.

— Jaki jest tytuł?

— Kodeks policji stołecznej — powiedział Gold — jest to repertorium<sup>15</sup> dla młodych konstablów i cieszy się niezwykłą poczytnością w sferach kryminalistycznych.

Śmiał się ze swego konceptu. Co do Helder, nie wiedział, czy ma się śmiać, czy być przestraszonym, względnie oburzyć się.

\*

Pierwszymi, którzy znaleźli się w hotelu, byli Comstock Bell i dziewczyna. Nadeszli niemal równocześnie. Przywitał ją z uśmiechem. Wyglądała poważnie i — tak mu się przynajmniej wydało — niezwykle pięknie. Wydaje się dziwne, że aż do tej właśnie chwili spotkania w wielkim *palm court*<sup>16</sup> hotelowym nigdy przedtem nie myślał o jej piękności. Miał jakieś niejasne pojęcie o tym, że było w niej coś takiego, co mile bawi oko, że jej obecność stanowi pewną przyjemność i pociąga ku sobie, lecz nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego czegoś, co ku niej pociąga i co stanowi tę przyjemność.

Comstock Bell nie żywił w sercu miłości względem żadnej kobiety, a jednak miał się oto ożenić z tą dziewczyną. Można to porównać z małżeństwem z rozsądku, o ile w ogóle istniało podobne kiedyś na świecie. A jednak było mu jakoś miło z tym, dawało mu to poczucie zadowolenia, że kobieta, która miała nosić jego nazwisko i dzielić z nim stół, a od której tak wiele zależało, była tak szczerze obdarzona przez naturę. Nosila zwyczajny biały kostium wełniany z lekkim odcieniem koloru lila w staniczku oraz szeroki cienisty czarno-biały kapelusik.

— Mamy jeszcze około pięciu minut do przyjścia tamtych — rzekł, prosząc ją, by usiadła. — Czy pani nie żałuje tego kroku, który pani czyni?

— Nie ma mowy o żalowaniu — odpowiedziała ze stanowczością — postanowienie, które powzięłam zeszłej nocy, jest stanowcze i nieodwołalne.

— Ja... — zaczął.

— Wiem — odparła — że pan ma mi coś do powiedzenia i że to coś będzie dla mnie straszne. Wiem, że mogę panu pomóc i że pan żeni się ze mną dlatego, że ja mogę panu pomóc, i że ja pana nie kocham ani pan mnie nie kocha. Wchodzimy w tę rzecz z otwartymi oczyma: oby się Bogu podobało, aby wyszło na dobre.

— Mogę tylko dodać do tego: amen — rzekł uroczyście. — Oto jest Gold.

Detektyw przedstawiał dziwny widok, nosił bowiem niezwykły u niego cylinder, i to o tak wczesnej godzinie porannej. Przeszli do sali stołowej. Śniadanie odbyło się najzwyczajniej w świecie: nie warto nad nim się rozwodzić. Dziewczyna nie miała wielkiego apetytu, a Comstock Bell jadł również z umiarkowaniem. Jedyny Gold, który nie miał poczucia odpowiedzialności, przy tym nie miał się żenić, jadł z całego serca. Miał bowiem doskonały żołądek i żelazne zdrowie, jak przystoi detektywowi. Wstał zresztą tego dnia już o czwartej godzinie nad ranem, o czym ani jedno z obojga współbiesiadników nie miało pojęcia.

<sup>15</sup>repertorium — spis, skorowidz. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>Palm court — atrium z palmami, zazwyczaj w luksusowych hotelach. [przypis edytorski]

— Dokąd zamierzasz jechać? — spytał.

— Stąd wyjeżdżam do Paryża — rzekł Comstock Bell z rozważą — następnie udaję się do Monachium, dalej do Wiednia, może i do Budapesztu; dalsze moje kroki nie są jeszcze pewne.

— Szkoda, że palec jeszcze się nie poprawił — rzekł Gold, pokazując na zabandażowaną rękę.

Comstock Bell uśmiechnął się.

— Prawie że nie odczuwam tego — odpowiedział — i wprawilem się już do tego stopnia w pisaniu na maszynie, że prawdopodobnie nigdy już więcej nie wrócę do starego systemu ręcznego pisania listów.

— Czy zabierasz ze sobą maszynę do pisania? — spytał Gold.

— Owszem, kazałem sobie sporządzić specjalną maszynę podróżną — wyjaśnił — chociaż nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał sam na niej pisać.

— Pani przypuszczalnie będzie panu mogła pomagać w pisaniu — rzekł Gold, uśmiechając się do dziewczyny.

— Na nieszczęście, albo raczej na szczęście dla niej — rzekł Comstock Bell — nie zna się na tym typie. Nie jest to typ uniwersalny.

Zrobiła się przerwa w rozmowie. Bell dał znak kelnerowi.

— Proszę mi przynieść blankiet telegraficzny — polecił.

W parę minut kelner wrócił z blankietem telegraficznym i podkładką do pisania.

— Czy mam napisać? — ofiarował się Gold.

— Nie, dam sobie sam radę — rzekł Bell z lekkim zarumienieniem.

Zabrał się pracowicie do wypisywania. Adres brzmiał: „Lauder, Landview Cottage, Gravesend<sup>17</sup>”, a za całą treść służyło jedyne słowo — „wdrożyć”.

Gold był z lekka ciekawy, jakiego rodzaju telegram może wysyłać człowiek w dniu swojego ślubu, lecz nie widział go, gdyż zaraz po napisaniu Bell złożył papier we dwoje i wręczył go wraz z pieniędzmi kelnerowi.

— Proszę to wysłać bezzwłocznie — polecił kelnerowi — i przynieść mi rachunek.

W parę minut później byli na ulicy. Bell nie wziął taksówki. Nie było daleko do kościoła i wołał tych parę kroków odbyć pieszo.

Nie licząc zakrystiana i jeszcze jednego sługi kościelnego, było pusto i odgłos kroków rozlegał się po całym kościele, gdy szli krążankiem chórowym. Stojąc przed ołtarzem w oczekiwaniu księdza, słyszeli gwar miasta budzącego się do codziennej pracy. O ile Comstock Bell myślał kiedykolwiek o dniu swojego ślubu, na pewno nie wyobrażał sobie nigdy czegoś podobnego. Co do dziewczyny, w obliczu najważniejszego wydarzenia w życiu stała znieruchomiała wprost nierealnością sytuacji.

Rozległ się jeszcze jeden odgłos kroków: nadszedł ksiądz. Trzymał w ręku książeczkę i wypowiadał uroczyste słowa, które miały skojarzyć ich, głosem całkiem mechanicznym, bez najmniejszego zająknięcia. Zadawał pytania i otrzymywał odpowiedzi. Złota obrączka wślizgnęła się na palec Verity, po czym przeszli razem do zakrystii dla umieszczenia podpisów. Ksiądz mówił coś o pięknej pogodzie i że jest nadzieja, że w tym roku będziemy wreszcie mieli prawdziwe angielskie lato. Comstock Bell odpowiedział zgodnie z konwenansem. Gold złożył opłatę i dał napiwek zakrystianowi, który służył za świadka ceremonii ślubnej. W ten sposób para wyszła na ulicę jako pełni uroku państwo Comstockowie Bellowie.

Widząc ich, nikt nie mógłby przypuścić, że tu zacznie się jedna z najciekawszych tajemnic Londynu.

Bell spojrzął na zegarek.

— Mamy godzinę czasu — rzekł. — Pani rzeczy są wszystkie na stacji, prawda?

Skinęła głową. Uśmiechnął się do niej przymilająco.

— Będę panią nazywał Verity, dobrze?

— Będzie mi bardzo miło — odpowiedziała.

Wentworth Gold słuchał z wielkim zainteresowaniem. Było to coś nadzwyczajnego, myślał. Podobnie jak dziewczynę, jego również uderzyła nierealność położenia.

Ślub

<sup>17</sup>Gravesend — angielskie miasto w hrabstwie Kent na brzegu Tamizy. [przypis edytorski]



Oto było dwoje ludzi, skojarzonych ze sobą na całe życie. On milioner, ona prosta dziewczyna, znacznie niżej społecznie postawiona. Mówili do siebie jak ludzie, co zostali niedawno sobie przedstawieni i nie mieli ze sobą nic wspólnego poza węzłami świeżej znajomości. Zastanawiał się, jak długo trwały zaloty, o ile w ogóle jakieś zaloty miały miejsce. Myślał też o jej wyprawie: jak mogła ją zebrać, jeśli nie miała nawet chwili czasu, by o tym pomyśleć. Wszelkie jego wątpliwości na tym punkcie rozwiły słowa, z którymi Bell właśnie w tej chwili się do niej zwrócił.

— Może pani wszystko sprawić sobie w Paryżu.

— Nie będę wiele potrzebowała — spokojnie odrzekła.

Comstock Bell śmiał się z zegarkiem w rękę, a dziewczyna uśmiechała się wdzięcznie.

— Nie mamy przez całą godzinę nic do czynienia<sup>18</sup> — rzekł Bell. — Chodźmy do parku. Pójdiesz z nami, Gold?

Wentworth Gold był ignorantem na punkcie zwyczajów towarzyskich i nie miał pojęcia o małżeństwie i o stosunkach między małżonkami. Szczególnie w tego rodzaju sytuacji jak obecna nigdy się jeszcze nie znajdował. Żył sam, bez rodziny. Gdy doszedł do stopnia magistra, małżeństwo wyobrażał sobie w postaci tajemniczych konferencji między mężem a żoną o tym, co będą jedli na obiad. Mimo to wrodzony takt dyktował mu, że winien w tej chwili pozostawić szczęśliwą parę samym sobie i pożegnać ich.

Zmyślił jakieś pilne zajęcie i właśnie miał wyrazić swój żal, że nie może dłużej korzystać z ich przemilego towarzystwa, gdy Bell wybawił go z konieczności popełnienia kłamstwa.

— Pozostań z nami do odjazdu — powiedział Bell — jeśli możesz nam poświęcić jeszcze godzinkę. Będzie nam nader miło.

Dorożka samochodowa powiozła ich do Regent Parku<sup>19</sup>, gdzie przechadzali się nad malowniczym stawem, gawędząc o wszystkim innym, tylko nie o najbliższych planach Bella.

Gdy zbliżał się czas odjazdu, Bell zdawał się zaniepokojony i roztargniony.

Nagle, bez uprzedniego wstępu, zwrócił się do Golda.

— Sądzę — rzekł — że Helder mówił ci, że zdradziłem tego Willettsa?

Gold był zaskoczony; nie pojmował, w jaki sposób Bell mógł być się o tym dowiedzieć.

— Mówił mi coś w tym rodzaju — przyznał — nie przywiązuję jednak wagi do słów Helderera.

— W tym wypadku zgadza się z prawdą — spokojnie zauważył Bell. — Zdradziłem Willettsa i nie zrobiłem tego bez poważnych powodów.

— Czy go już aresztowali?

— Jeszcze nie — odpowiedział — gdyż urządziłem to tak, żeby to się stało dopiero po moim wyjeździe z Anglii.

Brzmiało to nielitościwie, bez serca, w ustach człowieka o zasadach Bella. Gold przyznał się w duszy do rozczarowania. Było coś brudnego w tym planie milionera: zdradzić człowieka, bez względu na pobudki, by następnie czmychnąć z kraju dla uniknięcia wszelkich następstw mogących wyniknąć z tej zdrady.

— Ciesz się mnie, że to usłyszałem — chłodno zauważył.

Comstock Bell spojrzał nań i wyczytał w jego obliczu wyrok skazujący.

— Staraj się myśleć o tym możliwie najlepiej — powiedział.

Doszli do Wiktorii<sup>20</sup>. Wóz<sup>21</sup> był rezerwowany dla młodej pary.

— *Au revoir!* — powiedział Gold, wyciągając dłoń.

Bell uściskał ją z mocą.

— Spotkamy się jeszcze?

— Spodziewam się — powiedział Bell.

Był roztargniony. Do tego stopnia myślał o czymś innym, że Gold był nieco zirytowany. Rzucił okiem na młodą panią Bell. Trudno było powiedzieć — tak dziwnie cudowna

<sup>18</sup> *nic do czynienia* — dziś raczej: nic do zrobienia a. nic do roboty. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *Regent Park* — jeden z królewskich parków w Londynie, na północy którego znajduje się zoo. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *Wiktorii* — tu: Victoria Station, jedna z głównych stacji kolejowych w londyńskim City. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *wóz* (ang. *car*) — tu: wagon. [przypis edytorski]

była cera jej twarzy — czy była blada, czy nie. Uważał, że była nieco bladawa, oczy miała z lekka podkrążone z niewyspania.

Uściskał jej dłoń i wyraził im życzenia, których należało oczekiwać od drużby żegnającego się z nowo zaślubioną parą, po czym stał na peronie, aż pociąg zniknął mu z oczu.

Zwrócił się ku wyjściu i opuścił stację. Nieomal wpadł na Heldera, który był również świadkiem pożegnania.

Gold spojrział nań z naganą w oczach.

— Gdybym skądinąd nie znał pana jako najszacowniejszego i najspokojniejszego człowieka w całym świecie — powiedział z wielką rozwagą i obraźliwością przy każdym słowie — powiedziałbym, że pan nas śledził.

Tamten zaczął się uśmiechać.

— Byłby pan prawdę powiedział — otwarcie przyznał — obserwowałem was. Małżeństwo Comstocka Bella stanowi dla mnie przedmiot zainteresowania nie mniej jak dla pana i powiem panu szczerze (może mi pan dać wiarę lub nie), że sam nie wiem nawet, dlaczego tak jest.

— Pan mnie zdumiewasz — sucho odparł Gold. — Tego rodzaju typy ludzi, do jakich pan należysz, nie czynią niczego bez gruntownego rozważenia.

Helder śmiał się.

— W tym wypadku moje postępowanie było całkiem wyjątkowe — rzucił.

Byłby szedł za Goldem, gdziekolwiek temu ostatniemu się podobało, lecz detektyw ambadorski dał mu do zrozumienia, że życzy sobie zostać sam. Dlatego właśnie nie poszedł do klubu, wiedząc, że mógł tam spotkać Heldera; dlatego też zabrał się do jakiejś zalegającej pracy i do przygotowania sprawozdania dla Skarbu waszyngtońskiego.

Poszedł jednak do Klubu na obiad i znalazł dwa telegramy do niego zaadresowane. Oba pochodziły od Bella. Jeden był nadany w Dover i zawierał wyrazy podziękowania za grzeczności świadczone tego dnia przez Golda. Drugi był z Calais<sup>22</sup>, a nadany był o trzeciej po południu. Wiadomość, którą wyczytał, zastanowiła go. Telegram brzmiał: „Bądź łaskaw jutro zobaczyć mojego Parkera — dziś dałem mu urlop — i kazać mu wysłać moje listy”.

Gold opuścił telegram na stół. Czemu nie telegrafował wprost do Parkera? I jak to wytłumaczyć, że człowiek tak metodyczny, Bell, zapomniał o pouczeniu służącego przed wyjazdem? Uśmiechnął się.

— Sądzę — rzekł do siebie — że młodzi ludzie zwykle z powodu ślubu zapominają o najważniejszych rzeczach, co dopiero o takich drobnostkach jak przedadresowanie nadeszłych<sup>23</sup> listów.

Zrobił sobie notatkę w książeczce podręcznej, że ma wypełnić dane mu zlecenie, i zabrał się do obiadu. Miał jeszcze wiele listów do przeczytania, przeważnie z ambasady, niezbyt przyjemnych. Przeczytał je z filozoficznym spokojem, złożył z powrotem i schował do kieszeni.

W sali stołowej niedaleko siedział Helder, ostentacyjnie przerzucając wieczorną gazetę. Gold wiedział z góry, że gazeta była jeno<sup>24</sup> pozorem. Cóż Helder znów miał mu do powiedzenia? Nie należał wszak do ludzi, którzy mozolą się często nad różnymi rzeczami jedynie dla zabicia czasu. Gold postanowił przyspieszyć sprawę. Przystąpił do stolika Helder'a.

— Idę na spacer — powiedział doń — chce się pan przejść ze mną?

— Z przyjemnością — odpowiedział tamten i wstał z pośpiechem.

Gold przypomniał sobie, że nie będzie miał nazajutrz czasu, by pójść do Parkera. Wziął w sali do pisania kopertę, włożył do niej telegram Bella i zaadresował ją. Była to wymówka dla urzędnika przechadzki. Trzeba będzie pójść na Cadogan Square<sup>25</sup> i wrzucić list do skrzynki.

Wyszli razem z klubu.

<sup>22</sup>Calais — miasto w płn.-wsch. Francji, ważny ośrodek transportowy i pasażerski; z brzegu morskiego u stóp Calais widać Wielką Brytanię, mianowicie Dover. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>nadeszły — tu: nadesłany. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>Cadogan Square — plac mieszkalny w zachodnim Londynie. [przypis edytorski]

— A teraz chciałbym zadać panu jasne pytanie — rzekł Gold — i żądam jasnej odpowiedzi.

— To brzmi strasznie — odpowiedział Helder — ale postaram się zadośćuczynić pańskiemu życzeniu. Co chciałby pan wiedzieć?

Gold skinął głową.

— Dlaczego pan interesujesz się krokami Bella aż tak intensywnie? — zapytał.

— Ja się interesuję wszystkim — odparł Helder.

— Ale nie do tego stopnia, by aż tracić swój drogi czas, o ile pana nieco znam — rzekł Gold. — Jest tam coś w tym pańskim interesowaniu się Comstockiem Bellem.

Szli pewną część drogi w milczeniu. Helder podjął z niechęcią.

— Pan jest jego przyjacielem, więc nie chcę pana niepokoić.

— Pan mnie jeszcze bardziej niepokoi — rzekł Gold — robiąc pewne aluzje do spraw, których pan nie chce skonkretyzować.

— A więc powiem panu — po chwili Helder powiedział — uważam Comstocka Bella za człowieka, którego Anglicy zowią mianem „przewrotny”.

— Czy to jest wszystko? — oschle zapytał Gold.

— Czy to nie wystarczy?

— Sama okoliczność, że pan uważasz Bella za „przewrotnego” nie wystarczy, aby mnie przekonać, że jest on tym, za co pan go uważasz — ciągnął Gold tym samym tonem. — *I guess*, jeślibyśmy mieli zależeć od prywatnych zdań naszych bliźnich o nas samych, wątpię, czy starczyłoby w Anglii więzień dla pomieszczenia wszystkich łajdaków, którzy wykroczyli przeciw temu, co nazywamy dobrym smakiem. Czy pan nie ma nic konkretniejszego?

— Mogę dodać tyle tylko, że okupuje on swoją wolność kosztem swego bliźniego — rzekł Helder uroczystym tonem.

Gold uśmiechnął się.

— Sądzę, że prawdą jest to — zauważył — że Bell wie o panu coś, co pan wolałby, aby nie miało miejsca, i że pan nie będzie miał pokoju, póki nie przekona się pan, że wyjechał z Anglii. Stąd pańskie dzisiejsze zainteresowanie jego podróżą.

W półmroku twarz Heldera pokryła się czerwienią.

— To niedorzeczna insynuacja — zaprzeczył.

Znajdowali się już na Cadogan Square i gdy zbliżali się do domu Comstocka Bella, Gold wydobyl list z kieszeni.

— Chcę to wrzucić do skrzynki na listy — powiedział. — Jest to pouczenie dla służącego Bella.

Doszli do domu. Była to staromodna budowla zbudowana w czasach, gdy pani domu uważała, że dom nie odpowiada wszelkim wymogom, o ile nie daje jej z okna pełnego widoku na schody do drzwi wejściowych.

— Ktoś tam na schodach czeka — rzekł nagle Helder.

Gold spojrzal przed siebie.

W cieniu stał młody człowiek.

Przyszedł widocznie dopiero co, gdyż usiłował przycisnąć dzwonek elektryczny, nie mogąc go w ciemności dojrzeć.

— Czy pan Comstock Bell? — zapytał.

Gold zaczął się spokojnie śmiać.

— Nie. Pana Comstocka Bella nie ma w ogóle w mieście.

— Czy pan jest jego przyjacielem? — spytał nieznajomy.

— Nie wiem, dlaczego... — zaczął Gold.

Młody człowiek okazał mu swoją wizytówkę.

— Nazywam się Jackson, jestem przedstawicielem „Post Journal” — powiedział. — Zostaliśmy powiadomieni, że pan Bell wziął ślub dzisiejszego dnia.

— Reporter, he?

Gold wrzucił przede wszystkim do skrzynki list, który przyniósł ze sobą, zanim udzielił dalszych wiadomości reporterowi.

— Tak jest — rzekł w dobrym humorze — mogę panu dać takie informacje, jakich sądzę, sam pan Bell panu raczyłby udzielić. Dziś wziął ślub i jeszcze tego samego rana wyjechał do Paryża.

Dziennikarz

— Czy zechciałby pan łaskawie podać mi imię i nazwisko tej pani? To dość ważne, nieprawdaż? — uśmiechnął się. — Wie pan, że nasza publiczność jest nader ciekawa wszelkich szczegółów dotyczących milionerów i ich narzeczonych.

Gold zawahał się. Ostatecznie, pomyślał, nie ma powodu, by prasa nie wiedziała. Zresztą o ile by on sam nie powiedział, dowiedzą się sami skądinąd.

— Ożenił się z panną Verity Maple — odpowiedział.

Reporter gwizdnął.

— Czy to nie bratanica tego, co...?

Gold skinął głową.

— O tym nie musi pan pamiętać, młody panie — rzekł.

Dziennikarz włożył notes do kieszeni.

— Mam zbyt dobrą pamięć, abym miał zapomnieć o panie Maple — oschle rzekł. — To jest młoda osoba, którą raz zobaczywszy, trudno zapomnieć, i widziałem ją niedawno temu, gdy jej wuj dokonał tajemniczego zniknięcia.

Stali na schodach, gdy toczyła się ta rozmowa. Helder kroczył tymczasem tam i z powrotem po chodniku, czekając niecierpliwie na koniec *interview*.

— Dziękuję panu serdecznie za pańską łaskawość — zakończył reporter, zwracając się do Golda. Schodzili na dół, gdy nagle na okrzyk Helderera musieli się zatrzymać na miejscu.

Helder patrzył ponad nich w kierunku środkowego okna.

— Patrzcie! — szepnął.

Gold powiódł okiem w tę stronę i stanął jak wryty ze zdumienia.

Albowiem w oknie stała, z wyrazem napięcia na przestraszonymi twarzą, Verity Comstock Bell, która jeszcze tego samego poranka była Verity Maple.

Stała, obejmując wzrokiem ulicę. Światło lampy ulicznej odsłaniało jej zagadkowe oblicze. Usta miała skurczone, a oczy wytrzeszczała, jak gdyby na coś, czego nie mogła dojrzeć, marszcząc brwi, jak ktoś, kogo nagle spotkała straszliwa, dręcząca zjawa.

Chwilę tak stała. Następnie zwróciła oczy ku trzem mężczyznom stojącym na dole i zawróciła w głąb ciemnego pokoju.

### ROZDZIAŁ III. ARESZTOWANIE WILLETTSA

— Widzieliście? — zadyszał Helder. Wydał się niepotrzebnie przerażony zjawiskiem.

Gold czuł przyspieszony oddech i zimny pot na czole. Było coś niesamowitego, a zarazem absurdalnego w tym zjawieniu się nagłym kobiety, która, wedle jego rachuby, winna się w tej chwili znajdować gdzieś za morzem, w oddaleniu trzystu mil od Londynu.

Stał niezdecydowany na najniższym stopniu schodów. Uczynił ruch, jak gdyby chciał wyjść na górę, i zatrzymał się. Nie jego rzeczą było mieszać się w tę sprawę, jakkolwiek nie wątpił w to, że dziewczyna była nadzwyczajnie zmieszana, co dawało mu dostateczny powód do interwencji.

Przypomniał sobie nagle o obecności reportera.

Jackson był milczącym świadkiem całego zajścia.

Gold spostrzegł jego świecące się z zaciekawienia oczy. Wyżel węszący świeży ślad jest niczym w porównaniu z reporterem, któremu wpadł w ręce wątek tłustej historii. Ów wątek wypadł mu teraz z rąk, myślał Gold z przykrością.

Położył rękę na ramieniu dziennikarza.

— Panie Jackson — rzekł — ta historia nie powinna być rozwlekana. Pan Comstock Bell jest moim przyjacielem i to nagłe pojawienie się jego małżonki da się niewątpliwie z łatwością wytłumaczyć.

— Jestem przekonany o tym — odparł reporter uprzejmie.

Rzucił okiem na zegarek, a Goldowi serce zmalało.

Można przekupić ludzi, po których najmniej można by się tego spodziewać, nawet w nieprzekupnym Londynie. Można ugłaskać policję — po trosze; zyskać przychyłność w nieoczekiwany sposób, o ile się postępuje dyskretnie, ale nigdzie na całym obszarze panowania języka angielskiego, w Nelsonie<sup>26</sup>, B. C.<sup>27</sup> czy Nowym Jorku, w Johannes-

Dziennikarz, Przekupstwo

<sup>26</sup>Nelson — region w Nowej Zelandii. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>B. C. (ang. *British Columbia*) — Kolumbia Brytyjska, prowincja Kanady. [przypis edytorski]

burgu<sup>28</sup> czy Londynie, nie kupisz milczenia zapalonego reportera, który zwąchał tłustą historię.

Gold zmienił taktykę.

— Pan Comstock Bell — rzekł z naciskiem — jest człowiekiem bardzo bogatym i jakkolwiek okoliczności dzisiejszej nocy są niezwykle, dadzą się, jak powiedziałem, łatwo wytłumaczyć. Mogę pana tylko przestrzec w jego imieniu, że on jest gotów przedsięwziąć kroki przeciw wszelkim osobom lub dziennikom, które odważyłyby się podjąć coś w celu skompromitowania go.

— Jestem o tym przekonany — odparł reporter jeszcze grzeczniej aniżeli przedtem oraz z pewną dozą patosu — bądź pan ze swej strony przekonany, że to, co mam pisać, będzie pisane w duchu swobodnej pogawędki, cechującej zwykle nasz dziennik.

Skinął głową na pożegnanie i odszedł. Gold uświadomił sobie, że na nic nie zdałoby się dalsze nakłanianie reportera.

Stał, póki ten nie zniknął mu z oczu, po czym zabrał się w drogę, mając nieodstępного Helderera obok siebie.

Nie mówił ani słowa. Nie było co mówić. Milczał przez jakieś dziesięć minut.

— Co to ma oznaczać? — zapytał Helder podnieconym tonem. — Coś w tym musi być. Powiadam panu, że coś jest nie w porządku. Znam Comstocka Bella. To człowiek zdolny do pewnych rzeczy. Muszę się tym zająć.

Gold schwycił go za ramię w chwili, gdy odwracał się, by odejść.

— Dokąd pan zmierza? — zapytał rozkazującym tonem.

— Idę na policję.

— Może pan oszczędzić sobie trudu — zwrócił się doń szorstko. — Znam się nieco na dziennikarstwie, więc powiem, że policja już będzie miała wszystko, czego jej potrzeba. A przy tym — dodał oschle — na co panu opowiadać prasie historyjkę, która mogłaby jedynie zaciemnić całą sprawę pojawienia się pani Comstock Bell?

Słowa te wypowiedział w ten sposób, że nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że mieszcza w sobie groźbę.

— Nie wiem, co pan ma na myśli — rzekł tamten ochryplym głosem.

— Przekona się pan w najbliższych dniach, Helderze — wyjaśnił detektyw. — Niech sobie Bell pracuje nad swoim własnym ocaleniem, a pan pracuj nad swoim.

— Co pan ma na myśli? — spytał tamten po raz drugi.

— Pracuj pan nad swoim — powtórzył Gold, znacząco kiwając głową przy każdym słowie. Helder zniżył twarz ku tamtemu; nie było przyjemnością oglądać ją.

— Gold — wycodził między zębami — mówią, że pan jesteś detektywem, czymś w rodzaju gentlemana-szpicla, i że pańskim zadaniem jest wykrywanie spraw tam, gdzie zwykle ludzie w pańskim gatunku nie mają przystępu. Jeśli jednak pan spróbujesz pisać słowo na szkodę mojej reputacji, każę pana wyszczuć z wszystkich klubów Londynu. Czy pan zrozumiał?

Gold zaczął się śmiać.

— Ja wiem, że pan jesteś fałszerzem — spokojnie odpowiedział — i że pan jesteś w zмовie z bandą, która obecnie zalewa Stany Zjednoczone fałszywymi pięciodolarówkami. Otwarcie panu mówię, że nie posiadam żadnych dowodów przeciw panu, i tak samo otwarcie mówię panu, że gdybym miał najdrobniejszą wskazówkę, za pomocą której mógłbym pana skojarzyć z tym zbrodniczym działaniem, nie spocząłbym, póki bym nie zobaczył pana w jednym z więzień Stanów Zjednoczonych. Uważam, że pańska drukarenka w Shropshire<sup>29</sup>, której zadaniem ma być rzekomo popieranie interesów uciskanego rosyjskiego chłopstwa, nie jest niczym innym jak płaszczykiem, pod którym uprawia pan fałszerstwa na wielką skalę. Teraz pan dobrze wiesz, jakie jest moje zdanie o panu, wobec czego możesz pan podjąć kroki, jakie uważasz za stosowne.

— Pan nie masz dowodów — zadyszał Helder.

— Dowodów! — Gold gorzko zaśmiał się. — Gdybym miał w ręku dowody, czy pan przypuszcza, że mówiłbym z panem inaczej aniżeli przez kratki więzienne? Potrzeba mi tylko za grosz dowodu, aby pana unieszkodliwić.

<sup>28</sup>Johannesburg — miasto w Republice Południowej Afryki. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>Shropshire — hrabstwo angielskie graniczące z Walią. [przypis edytorski]

Stali w świetle latarni i twarz Golda była blada. Pierwszy raz w życiu przyłapał się na tym, że wprost i bezpośrednio przestrzegał najzawziętszego wroga, aby miał się na baczności. Wyrzucał sobie tę nieuwagę i czuł zdenerwowanie. Otrzymał właśnie od szefa listy, które wprawiły go w zaniepokojenie: wydział śledczy, któremu dotąd zawsze był tak wiernie i skutecznie oddany, stracił całkiem głowę z powodu tej sprawy fałszyfikatów.

— Rozumiem! — rzekł Helder bez pośpiechu. — Teraz, gdy znam pański pogląd, poczynię konieczne kroki dla swojej obrony.

Gold skinął głową.

— Pan jesteś najlepszym sędzią w tej sprawie — powiedział. — Co się zaś tyczy pani Comstock Bell, powiem panu, że wolno panu pójść na policję, jedynie z pańskiego punktu widzenia nie uważam za bardzo mądre, aby pan miał zwracać na siebie zbyt dużą uwagę.

Odszedł od niego, przeklinając się w drodze za swą porywczosć i za przedwcześnie rzucone na Helderę podejrzenie, z którym się zdradził. Było to rzeczywiście *faux pas*<sup>30</sup>, którego nie mógł sobie przebaczyć.

Utrudni mu to niezmiernie dalsze postępowanie. Popęnił w ogóle błąd. Należało uprzednio zarządzić rewizję drukarni w Shropshire, zanim „Czerwony Monitor” przestanie wychodzić i wraz z nim drukarnia rosyjska będzie zlikwidowana. Teraz było już za późno. Helder był główną sprężyną tej maszyny puszczającej w obieg fałszywe banknoty, a działalność swoją rozwijał z jakiegoś tajnego miejsca, którego nie udało się Goldowi ani jego ludziom wykryć.

Znalazłszy się w mieszkaniu, przypomniał sobie, że jego służący zna Parkera. Zadzwo- nił na niego.

— Cole — rzekł — znasz Parkera, prawda?

— Parkera, sir? — spytał służący.

— Tak, służącego pana Comstocka Bella.

— Owszem! Znam go doskonale, sir.

— Pan Bell dał mu dzisiaj urlop; gdzie on może teraz być? Potrzebuję go.

— W tej chwili, sir? — zdziwiony zapytał.

— Tej nocy.

— Prawdopodobnie poszedł do swojej siostry — odpowiedział — nie ma więcej krewnych w Londynie.

— Gdzie ona mieszka?

— W Dalston<sup>31</sup>, sir. Mam gdzieś jej adres — przypomniał sobie.

Wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z adresem na kawałku papieru. Gold tymczasem ułożył cały plan.

Rzucił okiem na adres.

— Weź auto i przyjedź tu z Parkerem, jeżeli tam jest. O ile go nie zastaniesz, a mógłbyś go wyszukać gdzie indziej, przyprowadź mi go, o którejkolwiek godzinie wśród nocy.

— Mogę załatwić wszystko bezzwłocznie — powiedział Gold do siebie, gdy służący już poszedł. — Inaczej jutro gazety byłyby przepełnione opowiadaniem o Helderze.

Zabrał się do czytania, lecz przestraszona twarz dziewczyny, którą ujrzał był wcześniej tego dnia w oknie, stanęła między nim a książką. Odłożył książkę na bok i zaczął przechadzać się po pokoju.

Zgrzyt klucza w zamku zwrócił uwagę Golda na wracającego Cole'a. Poszedł na korytarz. Parker czekał w swym odświętnym ubraniu.

— Czy macie klucz od domu pana Bella? — spytał go.

— Tak, sir — odpowiedział Parker.

— Chcę, żebyście poszli ze mną do domu waszego pana.

— Czy coś zaszło, sir? — Parker zapytał przestraszony.

— Nic, nic — niecierpliwie rzucił Gold. Nie uważał za stosowne wtajemniczać tego człowieka.

Pojechali na Cadogan Square. Było dużo po północy i ulice były puste. Parker otworzył drzwi.

— Chwileczkę, sir — rzekł, by włączyć światło elektryczne.

<sup>30</sup>*faux pas* (fr.) — fałszywy krok; niezręczność. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*Dalston* — dzielnica Londynu. [przypis edytorski]



— Idźcie wprzód na górę, zapukajcie do pana i przekonajcie się, czy jest u siebie.

— Ależ, *sir*...

— Idźcie! — rozkazał Gold.

Parker pobiegł na górę. W kilka chwil był już z powrotem.

— Byliście w pokoju? — spytał Gold.

— Tak, *sir*.

— Czy był ktoś?

— Nikogo nie widziałem, *sir* — odparł Cole.

— Co to za pokój? — zapytał Gold, wskazując na drzwi.

— To salon, *sir*.

— Proszę otworzyć.

Drzwi były otwarte.

— To dziwne — rzekł Parker.

— Co takiego? — spiesznie zapytał Gold.

— Te drzwi były na klucz zamknięte, gdy wychodziłem z domu.

— Czy ma ktoś jeszcze klucz?

— Pan Comstock Bell — odpowiedział Parker. — Wszystkie drzwi mają yale'owskie zamki<sup>32</sup> tkwiące tak, że trudno dojrzeć zamek. Czy pan go widzi?

Gold przyglądał się drzwiom. Były całe zrobione z różanego drzewa i, jak Parker powiedział, było niełatwo dojrzeć, gdzie wsadzić klucz. Wyjął z kieszeni latarkę elektryczną i oświetlił to miejsce. Dziurkę od klucza stanowiła cieniutka szczelina na politurowanej powierzchni drzewa. Gold poddał ją pilnej obserwacji. Znalazł mnóstwo ledwo dostrzegalnych draśnień, które musiały być świeżej daty.

— Ten, co ostatnio posługiwał się kluczem, nie znał się dobrze na tych drzwiach — powiedział.

— Chcieliście właśnie powiedzieć, że pan Comstock Bell ma podwójny klucz?

— Tak jest, *sir* — potwierdził Cole.

Gold otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Nakręcił wielki guzik elektryczny i pokój zalały potoki światła. Nie było nikogo. Nozdra detektywa wyduły się.

— Czy czujecie coś, Parker? — spytał.

— Tak, *sir* — powiedział Parker — jakiś zapach w pokoju.

Czuć było lekki zapach fiołków.

Zabrał się pilnie do poszukiwania. Meble, powleczone płótnem, stały na swoim miejscu. Na oknach umieszczone były sygnały alarmowe przed włamywaczami; były zupełnie nienaruszone. W oknie ujrzał płaską szkatułkę wielkości około czterech cali kwadratowych. Siegnął po nią i schował do kieszeni. Poznał zaraz na pierwszy rzut oka, do czego służyła. Była to szkatulka, w której biuro Cooksa umieszcza bilety kolejowe własnego wydawnictwa, wiedział zaś, że Comstock Bell w tym biurze zakupił bilety jazdy aż do Wiednia.

Dalsze poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. W całym domu nie było nikogo. Pani Comstock Bell zniknęła.

— Sądzę, że to wystarczy, Parker — powiedział.

— Niczego nie ruszono, *sir*? — zapytał służący, który myślał o możliwości włamania.

— Nie — uspokoił go Gold — nie ruszono niczego.

Opuścił dom Bella i pojechał z powrotem do mieszkania. Myślał, że może dziewczyna była u niego pod jego nieobecność, jednakże nikt się nie zgłaszał.

Był tylko telegram i list ekspresowy.

Otworzył list z zaciekawieniem, spodziewając się, że pochodzi od dziewczyny. Nadawcą był Scotland Yard — od inspektora Graysona.

„Willetsz aresztowany o jedenastej w nocy”, brzmiała wiadomość.

Gold skinął głową: zwrócił się był do Scotland Yardu z prośbą o informacje odnośnie tajemniczego Willettsa.

Telegram zawierał więcej słów aniżeli list ekspresowy i był poważniejszej natury. Wysyłającym był szef wydziału w Waszyngtonie. Telegram brzmiał:

<sup>32</sup>yale'owskie zamki — rodzaj zamka bębnowego, który można otworzyć jedynie za pomocą pasującego klucza. Nazwa pochodzi od jego wynalazcy Linusa Yale seniora. [przypis edytorski]

„Przybyć natychmiast do Waszyngtonu. Narada. Wyjechać okrętem *Turanic*”.  
Gold zaklął z cicha. *Turanic* miał opuścić rzekę Mersey<sup>33</sup> następnego dnia, spędził więc resztę nocy na pakowaniu walizek i wyjechał z Londynu o godzinie szóstej rano.

\*

Helder dowiedział się o aresztowaniu w klubie. Wiadomość otrzymał telefonicznie od jednego ze swoich agentów. Siedział w sali czytelnianej, myśląc o wypadkach tej nocy, gdy przyniesiono mu telegram, który był nadany w Nowym Yorku dwie godziny przedtem. Treść jego była całkiem prosta:

„Pilne, przybyć do Nowego Jorku *Turanikiem*”.

Podpisany był człowiek, którego słowo było dla Helderera rozkazem, wstał więc i poszedł do domu, aby poczynić przygotowania.

W ten sposób Gold spotkał na peronie stacji w Euston<sup>34</sup> człowieka, którego najmniej życzył sobie lub spodziewał się spotkać. W ten sposób obaj ci ludzie jechali razem przez ocean na tym samym statku, nie wymieniając podczas całej podróży ani słowa ze sobą.

\*

Podczas gdy Gold i Helder oddawali się swym zajęciom w Nowym Yorku, cały Londyn był zaintrygowany pytaniem:

„Gdzie są Comstockowie Bellowie?”

„Post Journal” zadawał to pytanie w formie nagłówka olbrzymimi literami, powtarzał jeszcze dwukrotnie mniejszymi. Nazywał zaistniałe zdarzenie „niezwykłym”, „niesamowitymi odwiedzinami”, posunął się nawet tak daleko, że opisywał je jako „tajemnicę”. Jako rozsądne pismo, dziennik ten wyraźnie snuł domysły na temat niemożliwości, by nie miało się do czynienia z jakąś niewyraźną grą. Zadawał sobie pytanie, czy Comstockowie Bellowie nie wrócili przypadkiem do Londynu, aby tu spędzić swój miodowy miesiąc, i poświęcił nawet artykułik Londynowi, będącemu rajem miodowych miesięcy. Robił aluzje do zjawisk nadprzyrodzonych i wyrażał nadzieję, że młodej parze nie przydarzyło się nic złego. W następnych numerach stawał się zuchwalszy, albowiem jego pilni korespondenci rozrzućeni po całym kontynencie europejskim robili poszukiwania za młodą parą i daremnie się trudzili.

Gdzież Pan Comstock Bell się podziewał?

Jego przyjaciele uważali to za żart, a konkurencyjne pisma twierdziły, że reporter uległ złudzeniu wzrokowemu lub pragnął stworzyć małą sensację ze względu na słaby sezon w dziennikarstwie. Wobec tego Jackson zmuszony był do przywołania owych dwóch panów, którzy byli obecni owej nocy przy pojawieniu się Verity. Z przykrością przyszło mu jednak dowiedzieć się, że obaj zniknęli z Londynu.

Szóstego dnia po ogłoszeniu jego opowiadania do redakcji „Post Journala” przyszedł list datowany: „Lucerna<sup>35</sup>”, pisany na maszynie na papierze listowym z nagłówkiem Swizerhof Hotel, którego treść podajemy jak następuje:

„Szanowny Panie! Z wielką ciekawością, nieznacznym zaniepokojeniem i pewną dozą rozbawienia czytaliśmy rozważania pańskiego przedstawiciela na temat miejsca naszych wywczasów, jakkolwiek musimy przyznać, że nie zdawaliśmy sobie sprawy, iż nasze poruszenia wywołają tyle zainteresowania.

Bylibyśmy Panu wielce zobowiązani, gdyby Pan był łaskaw zostawić nam swobodę przysługującą nam jako prywatnym jednostkom. Tuszymy<sup>36</sup>, że Pan raczy podać to do wiadomości naszym liczny przyjacielom londyńskim i że Pańskie zainteresowanie naszym powodzeniem ograniczy się obecnie do milczącego zainteresowania, będącego, jak się tego spodziewamy, udziałem wszystkich Pańskich czytelników.”

List był podpisany „Comstock Bell”, a poniżej, kobiecą ręką — „Verity Bell”.

<sup>33</sup>Mersey — rzeka w zachodniej Anglii, uchodząca do Morza Irlandzkiego. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>Euston — jedna z głównych stacji kolejowych w Londynie, w dzielnicy London Borough of Camden. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Lucerna — miasto w Szwajcarii, ośrodek wypoczynkowy. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>tuszyć (daw.) — mieć nadzieję. [przypis edytorski]

Wydawca „Post Journala” wręczył ten list upadłemu na duchu Jacksonowi. Wydawcą był mężczyzna dużego wzrostu, barczysty, szpakowaty, o tubalnym głosie podobnym do huku fal morskich. Rzucił garść soczystych przekleństw na głowę swojego podwładnego.

— Zrobił pan z nas wariatów, Jacksonie, ładnie teraz wyglądamy — zakończył swoją perorę.

Jackson był na tyle mądry, że nic nie odpowiedział. Wydawca przycisnął dzwonek i wszedł jego zastępca. Szef wręczył mu list.

— Proszę to ubrać w słowa — powiedział do niego — wyjaśnić, że będąc zawsze przekonani o tym, że panu Bellowi powodzi się jak najlepiej, przy czym nie było dla nas żadnej tajemnicy w jego zniknięciu, nie chcieliśmy o tym wcześniej donosić, zaciekała nas psychiczna strona...

— Ale — przerwał Jackson — czy nie należałoby może zapytać naszego korespondenta w Lucernie, czy fakt przebywania państwa Bellów w tej miejscowości pokrywa się z prawdą?

Wydawca spojrzał nań zachmurzony.

— Nie wiem, w jakim celu mielibyśmy tracić w dalszym ciągu pieniądze i energię dla tej sprawy — powiedział z namysłem. — Jeżeli się dowiedzą o naszych poszukiwaniach, gotowi są wziąć nam to za złe. Teraz jest ósma, to znaczy w Szwajcarii dziewiąta: zanim dostaniemy odpowiedź, będzie za późno.

— Możemy jednakowoż spróbować.

O godzinie jedenastej minut trzydzieści zastępca szefa wszedł do biura swego przełożonego.

— Szkoda, że tajemnica Comstocka Bella tak jakby się skończyła — rzekł, siadając naprzeciw szefa. — Nie ma prawie niczego nowego, co by warto puścić do tego numeru.

— Jestem tego samego zdania — sucho odrzekł szef. — Nie ma tam co nowego z sali sądowej?

— Drobnostki — odpowiedział niedbale. — Niejakiego Willettsa aresztowanego przed paru dniami oskarżono o sfalszowanie banknotu 50-funtowego.

— To niezwykle wypadek. Mógłby pan z tego coś zrobić? — zaproponował szef.

Zastępca potrząsnął głową.

— To było gdzieś przed dziesięciu laty — powiedział — i ten człowiek przyznał się. Nie było żadnych sensacyjnych okoliczności. Falszerstwo popełniono w Paryżu i zdaje się, że było ono jedyne w swoim rodzaju.

— Co dostał za to? — spytał wydawca.

— Rok ciężkiej pracy.

— Niechże pan poczeka! — Wydawca potarł podbródek z zastanowieniem. — Czy to nie było wtedy, gdy grupka młodzieży założyła Klub Zbrodniarzy?

Zastępca szefa skinął głową.

— Nie wyszło na jaw, więc nie możemy tego dać — rzekł. — Najlepiej będzie zrobić z parlamentu najaktualniejszą sprawę dnia.

Chłopiec redakcyjny przyniósł telegram i wręczył go zastępcy szefa. Ten rzucił nań okiem, następnie podał go szefowi.

— Hm — rzekł wydawca — to dziwna rzecz.

Telegram brzmiał:

„Ani pan, ani pani Comstock Bell nie byli widziani w Lucernie i ani nie są, ani nie byli w *Swizerhofie*.”

Siedzieli przez dłuższą chwilę, nie mówiąc nic do siebie.

— Od kogo to jest? — zapytał wydawca.

— Od jednego z naszych własnych ludzi, który jest na urlopie w Lucernie. Uważałem, że lepiej w tym wypadku nie polegać na miejscowym korespondencie.

Wydawca przycisnął dzwonek.

— Bardzo dobrze — rzekł. — Powiedz panu Jacksonowi, że chcę go widzieć — powiedział do chłopca, który zgłosił się na głos dzwonka. — Jackson może to opracować. Będziemy mieli aktualność dnia i nie zabraknie materiału.

W tej chwili wszedł Jackson i wydawca podał mu telegram.

— Zrobi pan z tego całą szpalte, ale szybko!

Dziennikarz, Wiadomość

## ROZDZIAŁ IV. JESZCZE JEDNO ARESZTOWANIE

Wentworth Gold wrócił do Anglii z końcem maja. Pobyt w Waszyngtonie zadowolił go bardziej, niż się tego spodziewał. Przełożeni przekonali się o trudności zadania i nieomal współczuli mu. Dowiedział się, że telegrafowano po niego z Białego Domu na skutek nieoczekiwanego zawiadomienia, które jednak nie dawało powodu do zawezwania go, więc porzeczano na stanowczym poleceniu natychmiastowego sprowadzenia go do Ameryki.

Heldera nie widział w Waszyngtonie, ale wiedział, że ten człowiek spędzał większą część życia na przejazdach tam i z powrotem między Liverpoolem a Nowym Yorkiem. Tacy ludzie często wcale nie wychodzą poza granice miasta, Helder był więc zapewne przez cały czas w Nowym Yorku.

Nie wiedział o tym, że pobyt Helderera tym razem miał szczególne znaczenie; że zbrodnicza organizacja była w wielkim popłochu z powodu ostatnich wydarzeń, mianowicie że Helder wybrał się do Nowego Yorku na podstawie tak krótkiej notatki telegraficznej dlatego, że przywódcy organizacji otrzymali definitywne wiadomości, że grozi im wykrycie, o ile nie zmienią planu działania.

Helder wyprzedził Golda o parę dni.

W czasie powrotu do Anglii Gold miał sposobność do rozważenia tajemnicy Comstocka Bella. Amerykańskie gazety brały sprawę zniknięcia milionera bardziej do serca aniżeli prasa londyńska, a Gold nie mógł zapomnieć, że jest serdecznym przyjacielem Comstocka Bella. Ta okoliczność czyniła sprawę tym drażliwszą dla detektywa.

Głównym wątkiem, którym operował Gold, było odkrycie, którego dokonał w domu na Cadogan Square. Był nim bloczek biura podróży Cooka, który znalazł w szkatułce. Dwa bilety były zupełnie nieużyte, jedynie kartki kontrolne dla przejazdu pasażerów z Londynu do Dover<sup>37</sup> i z Dover do Calais były wyrwane. Reszta biletów podróży aż do Wiednia była nietknięta. Fakt, że kupon kolejowy i bilet okrętowy były oderwane, wskazywał na prawdopodobieństwo, że Bell użył ich. Bilet z Calais do Amiens<sup>38</sup> był perforowany, być może, że przypadkiem, przez kontrolera w Wiktorii. Bilety nieużyte musiał Bell zostawić w pośpiechu.

Gold spodziewał się, że za przybyciem do Londynu dowie się, że Bell już wrócił. Zdziwił się też niezmiernie, gdy przybywszy do mieszkania, zastał w nim aż pół tuzina listów od niego samego. Jeden był adresowany z Paryża nazajutrz po przyjeździe młodej pary. Drugi, noszący datę pocztową z Lucerny, pisany na maszynie na papierze listowym hotelu *Swizerhof*, podawał szczegóły podróży, opisywał pogodę i wyrażał nadzieję, w sposób zresztą wcale konwencjonalny, że Londynowi sprzyja lepsza pogoda. Trzeci list był z Wiednia — było to całkiem niezrozumiałe. Żaden z listów nie wspominał o zagubieniu biletów — jest to drobnostka, która jednak stanowi zwykle przykrość w podróży, choćby się było bezgranicznie bogatym. Gold musiał się otwarcie przyznać wobec siebie, że nie mógł tego pojąć.

Zawodowy detektyw, który by się liczył w służbie z przyjaźnią, jest do niczego. A Wentworth Gold był detektywem z zawodu; nie dlatego, że zapewniało mu to stanowisko społeczne lub dlatego, że miał dzięki temu przystęp do wyższych sfer. Posiadał on instynkt prawny bardziej wyrobiony od kogo innego. Gdyby Comstock Bell był jego rodzonym bratem, nie zawahałby się podjąć z tym samym oddaniem żmudnych poszukiwań i badań, które by go naprowadziły na jakiegokolwiek wytłumaczenie jego dziwnego zachowania.

Pismo ze Scotland Yardu sprowadziło go do biura zastępcy komisarza.

Kapitan Symons był człowiekiem o wybitnych zdolnościach. Zdobył stanowisko szefa wydziału śledczego dzięki znamenitym usługom, jakie oddał kryminalistyce. Był to suchy, szczupły człowiek, łysawy, o parze stalowobłękitnych oczu, których wzrok przenikał do głębi, i małym wąsik. Był jednym z najsławniejszych ludzi w Londynie.

Wstał na powitanie wchodzącego Golda i przysunął mu krzesło.

— Proszę spocząć, panie Gold — rzekł. — Sprowadziłem pana, aby pana poprosić o pomoc w sprawie Comstocka Bella. Gazety narobiły wielkiej wrzawy w tej sprawie,

<sup>37</sup>Dover — port brytyjski w hrabstwie Kent, nad kanałem La Manche. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>Amiens — miasto w północnej Francji. [przypis edytorski]

a wiadomo panu, że podniosłyby alarm, gdyby wiedziały tyle, ile my wiemy o Comstocku Bellu.

Gold wyglądał oknem w stronę nadbrzeża Tamizy.

— Ściśle rzecz biorąc — powiedział z oznaką pewnego zirygowania — nie pojmuję, co skłania gazety do mieszania się w tę sprawę, która nie daje im, moim zdaniem, żadnego powodu do zainteresowania.

Komisarz skrzywił się w uśmiechu.

— Czy żadna okoliczność nie wydaje się panu dziwna? — zapytał.

— Są nieco dziwne, ale co pan przez to rozumie?

— Uważam, że sprawa ta jest w związku z pewnymi innymi zagadnieniami, które pana właśnie mocno interesują.

— Pan ma na myśli fałszerstwa? — Gold udał zdziwienie. — Nie, dlaczego?

— Z reguły — rzekł komisarz w zamyśleniu — nie przywiązuję wagi do listów anonimowych; jednakże w ostatnich dniach otrzymałem tak wyczerpujące listy rzucające światło na sprawę, przy czym zawierające tyle prawdziwych szczegółów, że nie mogę sobie pozwolić na ich zupełne zignorowanie. Przy tym znajduję w nich pewne wzmianki, które zmuszają do poważnego wzięcia ich w rachubę.

— Mianowicie? — spytał Gold.

— Czy nie wydaje się dziwne — powtórzył komisarz wypowiedziane przez siebie słowa — że obaj ludzie, którzy mogliby rzeczywiście przyczynić się do wykrycia sprawców tych fałszerstw, zniknęli? Jednym był Maple...

— A drugim? — spytał Gold.

— Drugim — rzekł komisarz — jest oczywiście jego bratanica.

— Ależ ona...

— Znała prawdopodobnie arkana tajemniczych przygotowań Maple'a. Wydaje się nieprawdopodobieństwem, by ona, mieszkając w tym samym domu i ciesząc się jego zaufaniem, nie znała dokładnie składu tego preparatu. W siedem dni po zniknięciu Maple'a Comstock Bell nieoczekiwanie i bez wytłumaczalnej przyczyny bierze ślub z dziewczyną znacznie niżej od niego społecznie postawioną.

Gold słuchał z zainteresowaniem. I on żywił podobne podejrzenie, jakkolwiek odsuwał je od siebie z lojalności względem nieobecnego przyjaciela.

— Jest dziwne — przyznał — a jednak istnieje chyba jakieś proste wytłumaczenie tej sprawy.

— Owszem, chciałbym je usłyszeć — odparł komisarz. — Na wszelki wypadek jest naszym obowiązkiem o nie się wystrząść. Dzienniki żądają wyjaśnienia tej sprawy, w szczególności odnośnie pani Comstock Bell, która opuściła Londyn w dniu samego ślubu, a mimo to była tej samej jeszcze nocy widziana w Londynie, jakkolwiek winna była znajdować się wówczas w Paryżu. Była też, według stwierdzenia Bella wobec prasy, w Paryżu. Tymczasem pan widział ją w Londynie, prawda?

Spojrzał Goldowi bystro w oczy.

Gold skinął głową.

— Tak, widziałem ją w Londynie — odpowiedział z poważną miną.

Sytuacja zmieniła się w ten sposób, że przyjaźń musiała ustąpić na drugi plan.

— Nasze zadanie jest podwójne — rzekł szef policji. — *Primo*, wyjaśnić sprawę Verity Maple, obecnej Verity Bell, *secundo*, odszukać jej osławionego wuja. I moje zdanie w tym względzie jest następujące: o ile zdołamy wyjaśnić te dwie sprawy, droga do wyjaśnienia zagadkowych fałszerstw na wielką skalę, które narobiły tyle wrzawy w życiu ekonomicznym pańskiego kraju, będzie urotworzona...

— Przypuszczam — dodał po chwili, gdy Gold nic nie odpowiedział — że pan zależałoby na tym, aby pozostać w ścisłym kontakcie z nami, z drugiej strony spodziewam się, że pan pójdzie nam na rękę w tej sprawie.

Gold skłonił głowę.

— Tak jest, panie komisarzu, nie spocznę, póki nie doprowadzę tej sprawy do końca — rzekł. — Będę potrzebował jeszcze dwóch ludzi do pomocy.

— Dam panu, ile panu potrzeba — odpowiedział komisarz. — Czy dać ich panu już teraz?

— Niech przyjdą do mnie tej nocy. Chcę, aby wzięli pod obserwację niejakiego Helderera.

— Helderera? — Komisarz podniósł nieco brwi.

— Tak — spokojnie odrzekł Gold — autora tych anonimów.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, po czym na obliczu komisarza pojawił się lekki uśmiech.

— Mówiąc o anonimach — rzekł, ważąc każde słowo — odnosiłem to do każdego innego poza mną samym. Moja znajomość z panem, panie Gold, znacznie zwiększyła moje uznanie dla policji amerykańskiej.

— To był oczywiście Helder? — spytał Gold.

Tamten poprowadził go ku drzwiom i otworzył je przed nim.

— Zapominam — rzekł niepewnie. — Nie mogę nigdy spamiętać nazwisk.

Gold wyszedł na ludną ulicę. Miał plany dawno przygotowane i nie chciał tracić ani chwili.

Metody policji angielskiej są dobre, jednakże on miał swoją metodę. Mógł im śmiało powierzyć śledzenie Helderera, sam był jednak przygotowany na działanie przeciwne prawu, aby ukarać bezprawie. A jeżeli rzeczywiście Comstock Bell był głową tej organizacji... Zaciśnął zęby.

Znał takie wypadki. Spotykał się z ludźmi, których majątek zwalniał z przymusu zbytniego wysilania się, którzy jednak, ulegając przekornemu instynktowi, dobijali się kariery w obszarze bezprawia, z początku dla zabawy, a następnie, gdy widzieli się tak opłatani dobrowolnie narzuconą na siebie siecią, że nie mogli już więcej z jej objąć się wydostać, brnęli dalej w bezprawia w rozpaczliwej nadziei, że uda im się przerzucić ciężar swego szaleństwa na obce barki.

Przez całe popołudnie wysyłał depesze na różne strony. Agenci, rozproszeni po wszystkich częściach Europy, odpowiadali jeden za drugim.

O dziewiątej wieczór wyruszył wraz z dwoma ludźmi. Noc była zimna, chłodny wiatr wschodni zmuszał do wdzięcia najcieplejszego płaszcza. Wsiedli wszyscy trzej do samochodu czekającego na nich w zaułku z dala od brzegu. Bez żadnych poleceń szofer puścił maszynę w ruch.

— Macie nakaz? — zwrócił się Gold do swych dwóch ludzi.

Większy skinął głową.

— To ten Rosjanin? — zapytał Gold nagle.

— Tak, *sir* — rzekł jeden z ludzi. — Trudno było się pomylić: miał bliznę na podbródku. Był pijany, zdaje się. Szedłem za nim od Soho do stacji Great Central. Tam spotkał się z Amerykaninem.

— I stamtąd szedłeś pan za nimi aż do domu?

— Nie — odparł krótko — zgubiliśmy tego Amerykanina.

Wóz biegł na wschód przez City<sup>39</sup>. Minął gęsto zaludnioną High Street z Whitechapel, potem Commercial Road, słynną Sidney Street<sup>40</sup> i zatrzymał się na rogu wąskiej przecznicy.

— Wybrałem to miejsce — wyjaśnił Gold — na dole są drzwi prowadzące na scenę kabaretu i pojawienie się auta nie wywoła żadnego nadzwyczajnego zdziwienia.

Jeden z ludzi prowadził. Minęli drzwi prowadzące na scenę, skręcili w inną uliczkę i znaleźli się w jednej z tych ludnych małych przecznic, których pełno w londyńskim East End<sup>41</sup>.

Wszystkie te ulice należą do najbiedniejszych i najbrudniejszych z całego Londynu. Mimo spóźnionej godziny tłumy dzieci cisnęły się na bruku i na trotuarach. Na poły wszystkie drzwi były otwarte, ukazując czarne, nieoświetlone nory. W niektórych stały

Bieda

<sup>39</sup> *City* — część Londynu stanowiąca centrum finansowo-handlowo-ubezpieczeniowe Wielkiej Brytanii, historyczne centrum miasta. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *Sidney Street* — ulica w Londynie, miejsce oblężenia Sidney Street w 1911 r., strzelaniny między siłami policyjnymi i wojskowymi oraz lotewskimi imigrantami. Była to kulminacja wcześniejszych wydarzeń związanych z próbą kradzieży biżuterii przez gang lotewskich imigrantów, która zakończyła się zabiciem trzech policjantów i przywódcy gangu. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *East End* (ang. Wschodnia Dzielnica) — uboższe, wschodnie dzielnice Londynu. [przypis edytorski]



kobiety grupkami prowadząc rozmowę<sup>42</sup> na wielkie i małe tematy bieżące, które zapełniały ich nędzne życie.

Ukazanie się trzech ludzi na ulicy, gdzie odwiedziny policji nie należały do rzadkości, nie wywołało zbytnej sensacji.

Idąc ostro, detektywi zaprowadzili Golda na ulicę, która wydawała się jeszcze nędzniejsza i bardziej zapadła aniżeli pierwsze. Ludzi tu nie było wiele; parę drzwi było zamkniętych, a przed jednymi stał człowiek.

— To tutaj — powiedział.

Gold postąpił wprzód i pchnął z lekka drzwi. Drzwi za poruszeniem rozwarły się. W tych małych domkach, zamieszkałych przez dwie, trzy, czasem cztery rodziny, nie ma potrzeby zamykania drzwi na klucz.

Gold wszedł; tamci weszli za nim. Nie uczynił jeszcze kroku, gdy drzwi prowadzące z sieni do ubikacji, którą uważał za pierwszy pokój, otworzyły się i jakiś człowiek ukazał się w nich.

— *Hallo!* — zawołał podejrzliwie.

Gold błysnął nań latarką trzymaną w ręku.

— Gdzie Rosjanin? — spytał.

Wiedział, że wśród tego rodzaju ludzi nazwiska nie mają znaczenia i że najlepszym odróżnieniem jednych od drugich są ich odrębności narodowe lub fizyczne.

— Na górze — odparł widocznie zadowolony, że nie chodziło o niego.

— W tyle czy na przodzie? — spytał Gold.

— W tyle, panie — rzekł człowiek. — Pierwszy pokój w przejściu między schodami.

Gold wspiął się po schodach, biorąc dwa stopnie za jednym razem. Tamci szli za nim.

Dośzedł do drzwi i spróbował je otworzyć. Były na klucz zamknięte. Zapukał. Nie było odpowiedzi. Zapukał ponownie. Usłyszeli trzeszczenie łóżka i stąpanie po podłodze. Zapukał po raz trzeci.

Gold szepnął coś dość głośno w języku, którego dwaj ludzie nie zrozumieli.

Czekał. Drzwi zostały otwarte kluczem i nieco się uchyliły.

Gold pchnął drzwi i wszedł. Był to jego człowiek — poznał go z opisu. Był pijany i widocznie spał powalony pijaństwem, gdy pukali.

— Kim panowie jesteście? — spytał.

— Niech ktoś zapali lampę — rozkazał detektyw.

Jeden z ludzi potarł zapalnik i znalazł cynową lampkę naftową, zdjął umbrę<sup>43</sup> i zapalił knot.

Była to nędzna nora, w której poza brudnym legowiskiem, które służyło za łóżko, nie było niemal żadnych innych sprzętów.

— Jesteście mi potrzebni — rzekł Gold po rosyjsku. — Wyjmijcie ręce z kieszeni.

— Powiedział do spokojnie, ale rewolwer, który przyłożył do piersi Rosjanina, uzupełniał resztę, która była w danej chwili wskazana.

— Podnieście ręce do góry!

Ponuro wzniosł ręce nad głowę i Gold wraz z towarzyszami umiejętnie rozbroił go. Para stalowych obręczy szczęknęła z tyłu na przegubach jego rąk.

— Siadajcie tu na krzesła — powiedział Gold. — Nie zrobimy wam nic złego, za to musicie nam powoli opowiedzieć wszystko, co wiecie.

— Nie powiem nic — rzekł.

Przeszukali szybko całą izbę, jak również zawartość kieszeni więźnia. Nie było nic, co by wskazywało na jakieś współnictwo z innymi osobami, ani listów lub zapisanych papierów. Jeden z ludzi zniknął w czasie rewizji i gdy Gold zdmuchnął lampę i sprowadził więźnia na dół, znaleźli czekający na nich automobil.

Wpakowali doń Rosjanina. Wóz poszybował w kierunku zachodnim, zanim mieszkańcy Little John Street uprzytomnili sobie, że dokonano wśród nich aresztowania.

<sup>42</sup>*rozmowa* — rozmowa. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*umbra* (daw.) — abażur. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ V. PANI BELL PODSŁUCHUJE

Pokój był obszerny. Służył pierwotnie za warsztat artystyczno-stolarski, póki właściciel nie przeniósł się skutkiem napływu obcej ludności i wynikłego stąd wzrostu wartości czynszowych dalej na wschód do Poplar i Canning Town<sup>44</sup>.

Przy małych stolikach siedzieli ludzie, pracując w milczeniu, z wielką uwagą. Słysząc tylko było monotony klekot małej maszyny stojącej za przepierzeniem w rogu pokoju: — klik — klik — klik.

Robotnicy byli przeważnie cudzoziemcami, a pracę swą pełnili jako najlegalniejsze zajęcie rytowania płyt do artystycznej reprodukcji, która to czynność wymaga znacznej zręczności i pewnego oka. Płyty i wizerunki miały znajdować rynek zbytu w Europie — nie nadawały się dla angielskiego odbiorcy.

Małe podłużne paski papieru zadrukowanego, które maszyna umieszczona za przepierzeniem regularnie wyrzucała, nie miały popytu w Anglii, były to bowiem doskonale reproduktowane banknoty pięciodolarowe.

Maszyna była mała, o wiele mniejsza od zwyczajnej maszyny do drukowania banknotów. Miała mnóstwo walców i tłumików oraz przewodów na czerni drukarską z matematyczną dokładnością ograniczonych do potrzebnych rozmiarów, tak że noty<sup>45</sup>, które z niej wychodziły, były absolutnie bez zarzutu.

Krepy mężczyzna siedział na wysokim krześle obok maszyny, z cygarem w kąćniku ust i rękami głęboko wpartymi w kieszenie od spodni.

Przyglądał się funkcjonującej maszynie z powagą, śledząc każdy ruch robotnika w białej koszuli, który układał noty w małe paczki i wiązał z wprawą. Gdy setka takich paczek została związana, wyciągnął rękę, by wyłączyć prąd, i maszyna stanęła.

— Na dziś wystarczy — rzekł.

Odsunął noty na bok i czekał, aż zdjęto płyty, starannie je wyczyszczono i zawinięto w papier. Wziął płyty i schował je do kieszeni wewnętrznej. Zabrał też resztę papieru banknotowego i gotowe noty, otworzył drzwiczki, prowadzące do ubikacji, w której ongiś było biuro artysty stolarza.

Otworzył kluczem schowek stojący w rogu i umieścił w nim paczki nowych not, zamykając potem starannie drzwi stalowe.

Wyjął z kredensu fłaszki i szklankę. Falszerstwa banknotowe, uprawiane na wielką skalę jak dotąd, zaczynały wchodzić w stan niepewności<sup>46</sup>. Czuł się tym podenerwowany: za wiele było wokół słychać bicia na alarm, za wiele było tych chwil nieustannej obawy.

Nalał sobie pełną szklankę i wypił duszkiem.

Zakręcił światło, otworzył drzwi i wyglądnął<sup>47</sup> na pole. Następnie zamknął drzwi z powrotem na klucz.

Nazajutrz te noty, starannie zapakowane w dwustu osobnych paczkach, adresowane przez dwu różnych agentów, będą wysłane pocztą do Stanów Zjednoczonych. Codziennie w ciągu tego tygodnia paczki będą nadawane.

Miał tym razem większy zapas not aniżeli zazwyczaj. Płyty starczą jeszcze na dłuższy czas. Następnie będą w użyciu nowe płyty, które są w opracowaniu niechętneho rzemieślnika.

Spojrzał na zegarek. Było trzy kwadransy na dziewiątą. Przeszedł przez małe biuro do większego pokoju.

— Możecie na dziś zakończyć — powiedział do ludzi.

Godziny pracy były nieregularne.

Jego intencji odpowiadał tego rodzaju plan pracy, że podczas gdy maszynka była zajęta wykonywaniem niecnego dzieła, personel miał się znajdować faktycznie przy pracy.

Dwaj ludzie tylko byli wtajemniczeni w interes oprócz niego i jego bezpośredniego przełożonego. Jednym był drukarz: ten miał za dnia zajęcie gdzie indziej i był absolutnie pewny. Helder sam wybrał go po należytych wybadaniu jego kwalifikacji.

<sup>44</sup>Poplar i Canning Town — dzielnice wschodniego Londynu. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>nota — tu: banknot. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>zaczynały wchodzić w stan niepewności — tj. zaczynały stanowić niepewny interes. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>wyglądnął — dziś popr. forma: wyrztał. [przypis edytorski]

Co do drugiego wtajemniczonego, Tiger Brown potrząsał głową z nachmurzeniem, ten był bowiem powodem niejednej nocy bezsennej Browna, który widział się skutkiem tego zmuszony do coraz częstszego uciekania się do flaszki stojącej na kredensie.

Ushłyszał lekkie pukanie w drzwi. Zgasił ponownie światło i otworzył z przezornością.

— Wszystko w porządku — Helder wszedł i zamknął za sobą drzwi. — Pracujecie?

— Właśnie skończyłem — odparł.

— Trzeba tej nocy usunąć możliwie wszystko — rzekł Helder widocznie zdenerwowany.

— Co się stało? — spytał drugi ostro.

— Nie wiem — mrukliwie odpowiedział — lecz mam przeczucie, że mnie śledzą.

— Po co więc pan tu przychodzi? — gniewnie rzucił Brown.

— Musiałem się z wami koniecznie zobaczyć — odpowiedział Helder pospiesznie. — Brown, ta historia zaczyna mi się nie podobać. Zadrukujcie wszystek papier, jaki macie na składzie, i zniszczcie płytę. Chcę zamknąć już przedsiębiorstwo.

Tamten skinął głową.

— Nareszcie — rzekł — ja także mam tego dość. Iwan został aresztowany.

— Aresztowany? — Helder aż podskoczył. — Kto go aresztował? Kiedy?

Twarz jego była śmiertelnie blada, ręce na przemian zaciskał i rozcapierał ze zdenerwowania.

— Jeżeli się wyda — rzekł — jesteśmy zgubieni, a o ile tego Golda znam, ten zmusi go do tego. Gdzież on jest?

— Iwan? Nie wiem. Czy ja jestem do tego, żeby obchodzić wszystkie biura policyjne? To nie moja rzecz. Jutro będziemy wszystko wiedzieć.

— Czemu nie dalszcie mi ani słowem znać o tym? — spytał Helder, zaklął przy tym z cicha. — Jeżeli Iwan zachowa milczenie, może nam się na pewno udać. Policja jest na poły przekonana, że to sprawa Comstocka Bella. Szukają go po całej Europie i jak długo nie znajdą go, dadzą nam spokój.

— A jeżeli wróci? — zapytał Brown.

— Ja mam wrażenie, że nie wróci — odparł drugi z lekkim uśmiechem. — Mam podejrzenie i jutro będę miał zupełną pewność. Już cały Londyn, przynajmniej ta jego część, o której warto mówić, wierzy, że Comstock Bell jest wmieszany w fałszerstwa.

— Co Londynowi wiadomo o fałszerstwach?

Helder spojrział na niego zdumiony.

— Jak to? Nic nie wiecie? Nie czytacie gazet, oczywiście, inaczej wiedzielibyście. Rząd amerykański ofiarował...

Tu zatrzymał się. Nie było zbyt mądrze opowiadać temu człowiekowi, że ofiarowano milion dolarów za wykrycie przywódców tajnych fabryk dolarów.

— Co ofiarował? — spytał znów Brown.

— Ofiarował wielką nagrodę — powiedział Helder. Przecież ten człowiek musi się bez niego też o tym dowiedzieć. — Komukolwiek, z wyjątkiem tych, co biorą czynny udział w fałszerstwach. — Podkreślił to ostatnie zdanie. — To znaczy, że my jesteśmy wykluczeni.

Tiger Brown podszedł do kredensu, wy dobył swoją flaszkę i niemal automatycznie napełnił szklankę. Helder obserwował go z zainteresowaniem. Brown stanowił zagadkę. Stanowił też niebezpieczeństwo i Helder nie zamierzał wyrzekać się swej osobistej wolności i tracić wszystkiego, co z takim nakładem pracy i przebiegłości dotąd zdobył, dla tego swojego nieokrzesanego kompana.

— Co pan zrobi z Maple'em? — zapytał Brown.

— W tym celu właśnie tu przyszedłem — odparł Helder — ażeby z wami o nim pomówić.

Zaczął się przechadzać niecierpliwie po pokoiku, mając ręce w tył założone.

— Pójdziemy do niego teraz. — Przystanął i zaczął nadśluchować. — Co to było? — spytał.

— Nic nie słyszałem — odparł drugi z irytacją — ludzie odchodzą, więc jest trochę ruchu.

Helder podszedł cichym krokiem ku drzwiom prowadzącym ku schodom zewnętrznym i nasłuchiwał.

— Ktoś tam jest na dworze — szepnął.

— Pan zwariował — odparł drugi — nikt tam nie stoi.

Zgasił światło, przekręcił klucz i rozwarł prędko drzwi na oścież.

Na dworze nie było nikogo. Helder nie zadowolił się tym i wpatrzył się jeszcze raz przenikliwie w mrok podwórza.

— Ktoś tam jest na dole — rzekł.

Widział jakąś postać sunącą wzdłuż ciemnego muru. Dążyła do furtki, prowadzącej na tylną uliczkę za ogrodzeniem domu. Brown wydobył rewolwer, lecz tamten schwycił go za rękę.

— Szalony — powiedział — chcecie sprowadzić na nas cały Londyn? Za nim!

Zbiegł szybko ze schodów. Będąc na dole, usłyszał trzask zamku i przez jedną chwilę widział otwieranie furtki, przez którą przemknęła się mała postać w płaszczu. Przystanął i rzucił okrzyk za zbiegiem. Przebiegł dzielącą go przestrzeń, by spotkać się z zatrzaśnięciem furtki w tej właśnie chwili, gdy do niej dopadł.

— Macie klucz? — zawołał.

Brown obszukał swe kieszenie, wydobył klucz, włożył go w zamek ręką drżącą ze zdenerwowania i otworzył furtkę.

Obaj wypadli na ulicę i rzucili wzrokiem na prawo i na lewo. Helder pierwszy w oddali zauważył uciekającą postać zbiega w chwili, gdy mijał latarnię uliczną.

— To chłopiec — rzekł — musimy go dostać. Biegiem!

Postać zniknęła w narożniku i obaj pobiegli za nią. Skręcili na rogu i znaleźli się na dłuższej ulicy. W połowie, tuż przy trotuarze, stał samochód. Ścigany jednym skokiem znalazł się w wozie, który ruszył z miejsca.

— Prędko! — rozkazał Helder — mój wóz jest na drugim rogu tej ulicy.

Biegł z całą szybkością, na jaką mógł się zdobyć. Dopadł wozu i odetchnął, by wydać zadyszany polecenie, nie był bowiem przyzwyczajony do nadmiernych wysiłków cielesnych. Następnie wskoczył, a za nim Brown.

Dłuższą chwilę nie mógł jeszcze tchu dostać<sup>48</sup>.

— Szczęście jeszcze — odezwał się wreszcie — że mój wóz czekał; będziemy mogli wytropić naszego młodego przyjaciela.

— Czy myśli pan, że coś słyszał?

— Jestem tego pewny — odparł Helder — stał na schodach tuż pod drzwiami.

— Co mógł słyszeć takiego? — zapytał Brown.

— Sam fakt, że podsłuchiwał, wystarczy dla mnie — odmruknął Helder.

Opuścił przednie okienko dzielące ich od szofera.

— Trzyma go pan na widoku? — spytał.

— Tak, *sir* — odpowiedział — musiał się zatrzymać przed zaporą wozów koło Aldgate<sup>49</sup>.

Jechali przez City na Queen Victoria Street wzdłuż brzegu.

Helderowi serce zabiło szybciej, gdy zbliżali się do rogu wielkiego bulwaru koło Westminsteru. Po prawej stronie znajdował się duży blok gmachów o światowej sławie.

— Jeśli zajedzie do Scotland Yardu — rzekł — musimy uciekać dalej, i to jak najprędzej.

Automobil nie skręcił w łukowatą bramę głównej siedziby policji. Obrócił się natomiast pod ostrym kątem w lewo, na most Westminsterski. Po stronie Surrey<sup>50</sup> przystanął; ścigający nadjechali w chwili, gdy pasażer-zbieg szybko wysiadł i dostał się do schodów prowadzących na dół do rzeki.

— Mamy go — zawołał Helder.

Zbiegł po schodach za małą postacią, dotarł do obszernej terasy dzielącej schody i zatrzymał się. Albowiem na dole, tam gdzie się kończyły schody, w jasnym oświetleniu lampy łukowej stała Verity Comstock Bell; za nią niewielki okręt z dwoma ludźmi w nim siedzącymi.

— Uważam, że lepiej pan zrobi, cofając się, panie Helder — powiedziała.

<sup>48</sup>*tchu dostać nie móc* — dziś popr. raczej: nie móc tchu złapać. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>*Aldgate* — jedna z bram byłego muru obronnego wokół Londynu, aktualnie stacja metra. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*Surrey* — hrabstwo na południe od Londynu. [przypis edytorski]

Trzymała niedbale pistolet automatyczny, oburącz, tak jak kobiety trzymają wachlarz złożony.

— I sądę — dodała — że byłoby najrozsądniej z pańskiej strony, gdyby pan postarał się odrobić póki czas zło, które pan popełnił, identyfikując mojego męża ze swoją nędzną robotą.

## ROZDZIAŁ VI. ZDRADZIECKI BANKNOT

Dnia 14 lipca roku 192... kasjer pełniący służbę w paryskim biurze Cooka na placu Opery<sup>51</sup> otrzymał pięć not francuskich tysiącfrankowych i osiem amerykańskich, opiewających na sto dolarów, do wymiany na walutę angielską.

Policzył je uważnie, dokonał pewnych obliczeń na kawałku papieru i wyjął z teczki, którą miał pod ladą, odpowiednią ilość angielskich banknotów celem wydania klientowi. Należało dodać jeszcze dwa funty, parę szylingów i dwa do trzech pensów, aby rachunek się zgadzał.

Położył pieniądze angielskie przed sobą i przeliczył jeszcze raz banknoty francuskie. Przy tej sposobności zauważył — dopiero teraz wpadło mu to w oko — że słowa „Banque Nationale” miały nieco słabszy odcień fioletowy niż zwykle. Było to tylko na jednym z banknotów. Porównał banknot z innymi i przekonał się, że się nie mylił. Odcień był stanowczo odmienny.

Zanim powziął coś dalszego w tym względzie, przypatrzył się uważniej dolarom.

Te nie różniły się w niczym jedne od drugich, aby jednak nabrać zupełnej pewności, wyjął studolarowy banknot ze swojej szufladki i porównał go z zaprezentowanymi mu do wymiany i znów okazało się, że zachodziła pewna, aczkolwiek minimalna różnica w odcieniu.

Banknoty drukowane we Francji odznaczają się pewną szczególną cechą charakterystyczną, mianowicie nie zachowują dłuższy czas z całą dokładnością odcienia koloru, w którym zostały wybite. Już w tydzień po wybiceniu, zanim jednak zostaną puszczone w obieg, zmieniają barwę do pewnego nieokreślonego bliżej stopnia.

Kasjer dotknął się dzwonka umieszczonego pod stołem i ów pan w średnim wieku, który czekał dotąd niecierpliwie na obsługę, znalazł się nagle w otoczeniu detektywów.

— *Monsieur* zechce łaskawie popatygować się do biura kierownika?

*Monsieur* nie miał na to najmniejszej ochoty. Podniósł głos z prawdziwym amerykańskim akcentem i zwrócił się ku wyjściu. Był to fałszywy krok z jego strony, albowiem człowiek zdrowy na umyśle, mimo największych przykrości, jakie są połączone z wymianą pieniędzy, nigdy nie wpadłby na pomysł dać się do tego stopnia unieść swemu oburzeniu, aby aż zostawić bez żadnego potwierdzenia pięć francuskich tysiącfrankówek i osiem studolarówek amerykańskich.

Detektywi ujęli podejrzanego za ramię. Ku zgorszeniu reszty klientów dystygowanej firmy bankowej zabrano go do małej ubocznej salki i zamknięto drzwi na klucz. W kwadrans później wyjechał automobilem w towarzystwie opiekuńczych detektywów.

Gold, który w tej chwili zajęty był zaopatrywaniem się w potrzebne mu zezwolenie na dokonanie rewizji mieszkania Helderera, wyjechał natychmiast pierwszym pociągiem do Paryża.

Na Stacji Północnej<sup>52</sup> oczekiwał go szef wydziału śledczego, z którym pojechał do prefektury. Po drodze oficer wyjaśnił detektywowi szereg punktów, które nie dały się wyszczególnić w telegramie wzywającym Amerykanina do Paryża.

— Nie mamy pełnej pewności co do not amerykańskich — rzekł — nie ma jednak najmniejszej wątpliwości, że banknoty frankowe są nader udanymi falsyfikatami. Człowiek, którego ujęliśmy, jest Amerykaninem. Przybył do Hawru<sup>53</sup> tej soboty, mając przy sobie listy polecające dla rozmaitych ambasad amerykańskich w Europie. Gdyby nie jego skorość do ucieczki, uważalibyśmy go za ofiarę sprytnych fałszerzy.

— Jak on się nazywa? — zapytał Gold.

<sup>51</sup>*Plac Opery* — plac w dziewiątej dzielnicy Paryża, znajduje się na nim Opéra Garnier, nazwana tak na cześć jej architekta, Charlesa Garniera. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*Stacja Północna* — Gare du Nord, jedna z sześciu głównych stacji w Paryżu. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*Hawru* — miejscowość w Normandii, znajduje się w niej największy port we Francji. [przypis edytorski]

— Schriener — odpowiedział drugi. — Twierdzi, że jest kupcem towarów żelaznych w New Yorku i przyjechał na wakacje do Paryża. Mamy o nim wzmiankę ze strony policji nowojorskiej. Przy tym podróż odbywa nieco zbyt kłopotliwie, w każdym razie nieodpowiednio do stanowiska człowieka w jego położeniu. Przeszukaliśmy jego bagaże.

— Czy znaleziono coś przy nim? — spytał Gold.

— Nic szczególnie podejrzanego — rzekł drugi z pewnym wahaniem. — Są, co prawda, pewne punkty, które wymagają wyjaśnienia. Chcielibyśmy, aby pan z nim wpierw mówił. Mogę jeszcze dodać, że już porozumiał się z ambasadorem amerykańskim w Paryżu.

Gold skinął głową. Wiedział, że Amerykanin za granicą, milioner czy oszust, za pierwszą swoją czynność uważa zamęczenie swego przedstawiciela państwowego.

Ów człowiek nie został umieszczony w celi więziennej. Gold zastał go w małym biurze w prefekturze, które zamieniono na tymczasowe mieszkanie. Siedział przy biurku, pisząc coś z furią. Detektyw spostrzegł człowieka średniego wzrostu, szpakowatego, dobrze odzianego, o surowych rysach twarzy, bynajmniej nie ujmujących. Mógł mieć przeszło pięćdziesiąt lat.

— *How do you do?* — rzekł Gold, wyciągając doń dłoń po amerykańsku.

Ręka, którą Gold ujął w swoją, była szorstka; nie była to delikatna dłoń bogacza lub kogoś, co spędził długie lata w dostatku. Co więcej, człowiek ten doznał pewnej trudności w odpowiedzeniu na powitanie. Nasz Amerykanin nabrał przekonania, że więzień nie miał wielkiej wprawy w życiu towarzyskim. Krótka rozmowa, którą z nim przeprowadził, upewniła go w tym do reszty. Ten człowiek był marionetką w ręku innych. Przy tym był jednak wytrzymały. Gold osądził to z bogactwa jego języka. Wylewał potoki słów, aż nazbyt, wszystko, aby wydostać się na wolność.

Gold opuścił go, aby przejrzeć w biurze szefa wydziału śledczego zakwestionowane amerykańskie banknoty. Podano mu akta, w których się znajdowały: Gold zbadał je ze starannością, na jaką zasługiwały, po czym zwrócił je.

— Nie ma żadnej wątpliwości — osądził — że to falsyfikaty, choć bardzo zręcznie wykonane. Czy mogę zobaczyć rzeczy tego człowieka?

Znajdowały się w przyległym pokoju, z napisami przyklejonymi na każdej z osobna.

— Wszystkie te dokumenty — rzekł Francuz, wskazując na papiery więźnia — są w przechowaniu łącznie. Czy chce pan je przejrzeć?

Gold skinął głową, więc rozłożono przed nim szereg papierów.

Były przeważnie bez większego znaczenia: obligacje na drobne sumy, listy polecające do konsulów i ambasadatorów podpisane przez wcale znane osobistości w Nowym Yorku. Gold nie przywiązywał do nich żadnej wagi, znając stosunki tamtejsze, którym zawdzięczyć można uzyskanie takich listów z wielką łatwością.

Między innymi był notes z mnóstwem zapisków. Te odnosiły się głównie do hoteli i pensjonatów. Ważniejsza była lista firm, gdzie, jak Goldowi wiadomo było, można wymienić pieniądze.

Najważniejszą nić stanowiła koperta zaadresowana dla tego człowieka do hotelu Palace. Nosiła znaczek pocztowy z Londynu. Była to całkiem zwyczajna koperta podłużnego formatu, z adresem pisanym wyraźnym ręcznym pismem.

Gold zwrócił się do Francuza.

— Panowie zapewne poddali hotel obserwacjom — powiedział.

Tamten skinął głową.

— Nie uważam tego za konieczne — zauważył Gold. — *Modus operandi*<sup>54</sup> jest niezmiennie ten sam. Falszowane noty są posyłane w małych ilościach w takiej kopercie jak ta do agenta. Dają mu pewien czas do rozporządzenia falsyfiakatami. Agent przesyła część zysku głównej kwaterze, która nie jest koniecznie identyczna z miejscem, skąd wychodzą falszowane noty, po czym, jak powiadam, po upływie pewnego czasu zostaje mu przysłana nowa paczka.

— I pan sądzi — zapytał Francuz — że możemy się spodziewać dalszego zapasu banknotów pod adresem tego hotelu?

<sup>54</sup>*modus operandi* (łac.) — sposób działania. [przypis edytorski]



— Nie — odparł Gold. — Przede wszystkim każdy agent należący do szajki ma nad sobą innego agenta, nieznanego mu, który wykonuje nad nim kontrolę. Ten drugi agent jest równie płatny jak pierwszy. W międzyczasie fałszerze dowiedzieli się, że Schriener został przyaresztowany. Nie ma powodu oczekiwać dalszego transportu.

Gold wziął jeszcze raz fałszywe noty amerykańskie do ręki i poddał je skrupulatnemu badaniu.

— Pięknie wykonane — rzekł. Oglądał je z obu stron. Coś zwróciło jego uwagę i wpatrzył się uważnie w jeden róg banknotu.

— Przepraszam — wyrzekł, biorąc banknot do okna.

Paryż nakryty był ciemnymi chmurami i światło było niejasne. Mimo to jednak zdołał zauważyć biegnące przez całą długość banknotu dziwne jakieś słowa. Były drukowane w tym samym kolorze malwy, który stanowił tło banknotu, i pozornie stanowiły integralną część rysunku.

— Proszę o silne światło i szkło powiększające — powiedział stanowczym tonem.

Szef wydziału detektywistycznego podszedł do biurka i wykręcił nad nim potężną żarówkę elektryczną, nad którą założył umbrellę, tak że światło padało jedynie na biurko.

Z biurka wydobył silne szkło powiększające i podał je Goldowi. Amerykanin rozłożył banknot na biurku i, trzymając szkło powiększające nad odpowiednim miejscem banknotu, zapuścił weń wzrok.

Wydał gwizdnięcie i twarz mu się zmieniła, a oczy błysnęły z zachwytu.

— Patrz pan! — zawołał niemal.

Francuz wziął szkło powiększające z ręki Golda i wydał okrzyk, albowiem od rogu banknotu drobnymi literkami i z nadzwyczajną zręcznością wyryte były następujące słowa:

„Verity Maple, 942 Crystal Palace Road, London, note numbers 687642 to 687653 milk”.

Spojrzeli jeden na drugiego.

— Co to znaczy? — zapytał Francuz, zmieszany.

Gold wyglądał oknem. Nie dał żadnej odpowiedzi. Powtarzał słowa banknotu.

— Jest tylko jedna osoba na świecie, która może wyświetlić tę wiadomość — rzekł. — Musimy ją odnaleźć.

— Ale któż to napisał? — zapytał szef policji.

— Któż inny jak Tom Maple? — odpowiedział Gold. — Sądzę, że jesteśmy na najlepszej drodze do wykrycia zbrodniarzy.

## ROZDZIAŁ VII. „NIEDORZECZNOŚĆ COLLETTOWSKA”

Między Cambridge a Waltham Cross<sup>55</sup> są trzy szosy, które się krzyżują. Jedna, główna, prowadzi do Cambridge, druga do Newmarket i dalej. Trzecia jest mało ważna, jest bowiem tylko szlakiem wagonów okrężnych, wijącym się w południowym kierunku. Jest ona do tego stopnia bez znaczenia, że odpowiedzialni autorzy mapy okolicy Cambridge nie uważali nawet za konieczne poinformować tych, którym by na tym zależało, że taka droga istnieje.

Kto by się interesował tymi miejscowościami — niejednen z nas chciałby wszak zwiedzić sławną Anglię — dowie się ze zdziwieniem, że ta nieznaną nikomu, a jednak istniejąca droga zawdzięcza swoje powstanie niedorzeczności starego Colletta. Od niego też wzięła swą nazwę. Collett był ekscentrycznym gospodarzem rolnym. Ekscentryczność posunął aż do granic geniuszu. Mógł się stać sławny na całą rolniczą Anglię jako pionier naukowej uprawy roli gdyby nie dziwaczna mania, która trzymała go z dala od osiągnięcia celu, o ile miał w ogóle jakiś cel. Owa mania przejawiała się w nader kosztownych formach, tak że być może, że stary Collett umarł w stanie zupełnej ruiny majątkowej, choć niezmiernie szczęśliwy i zadowolony z rezultatów eksperymentu swojego życia. Jak tylu innych ludzi, którzy zasłużyli sobie na sławę, reformy Colletta były pasmem

<sup>55</sup>Waltham Cross — miasto 20 km na północ od centralnego Londynu, zalicza się do londyńskiego obszaru metropolitalnego. [przypis edytorski]

krańcowości: wszystko, co inni rolnicy czynili, uważał *ipso facto*<sup>56</sup> za błędne i starał się dokonać tego samego metodą wręcz przeciwną.

Pośród stu starych metod śmiało można określić sześćdziesiąt jako niedające się ulepszyć, dwadzieścia pięć na sto ulega pewnym zmianom, reszta zaś jest całkiem błędna. Stary Collett, który stosował zasadę, że cała setka wymaga natychmiastowej reformy *in capite et membris*<sup>57</sup>, nabawił się poważnej choroby i — umarł.

Zostawił po sobie sto morgów nieuprawnej ziemi, domek, który wybudował w myśl własnych planów, milowej długości prywatną drogę i nieszczęsnego wykonawcę ostatniej woli, którego obciążył tysiącem pośmiertnych zleceń. Biedak mógł sobie poradzić z pomocą sądu, wołał jednak pójść mniej legalną, lecz prostszą drogą interpretowania na własną rękę życzeń zmarłego. W szczególności oddał domek w ręce pierwszego z brzegu oferenta. Ponad wszelkie oczekiwania oferta, którą otrzymał, była niezwykle korzystna. Znalazł się ktoś, co oglądnięt<sup>58</sup> sobie okolicę, odkrył w domku i otoczeniu coś, co odpowiadało w zupełności jego życzeniom i zakupił gospodarstwo wraz z całym inwentarzem.

Opisując kupującego, pan Harlett, wykonawca testamentu starego Colletta, wyraził się o nim jako o miłym Amerykaninie, który upodobał sobie domek i pragnął uczynić zeń hotelik dla niedzielnych wycieczkowiczów. Nie zamierzał uprawiać gospodarki rolnej, tak powiedział panu Harlettowi, lecz kazał domek w zupełności wyporządzić, przemaalować i umeblować.

Nie każdy wpadłby na pomysł urządzić z domku letnisko; wykonawca na pewno nie byłby miał tyle fantazji. Domek był zbyt ponury, o za grubych murach, czyniących wrażenie więzienia. Z zewnątrz był to wzór brzydoty, z wszelkimi cechami odpychającymi, o oknach wybitych w murze w regularnych odstępach i bramie przypominającej areszt. Całość uzupełniały kraty, które nie wiadomo w jakim celu kazał stary Collett wprawić do okien. Wnętrze było za to z pewnością mniej odpychające. Izba mieszkalna ciągnęła się od podłogi do dachu; wokoło biegł krużganek, na którym były organy — stary ekscentryk był bowiem czymś w rodzaju muzyka. Główny i jedyny pokój sypialny o tym przeznaczeniu znajdował się na parterze.

Na górze mieściła się komora niedostępna dla złodziei, o stałą wyłożonych ścianach.

Dostęp do niej był umożliwiony z dołu przy pomocy drabiny, albowiem nie prowadziły do niej żadne schodki. Amerykanin wydawał się z tego nawet zadowolony, przynajmniej nie zdradzał żadnej ochoty wbudowania schodów. Komora, ze swą solidną podłogą, była dostępna albo z parterowej sypialni, albo przez stalowe drzwi z krużganka biegnącego wokoło wzniosłej sali jadalnej. W tej komorze stary Collett trzymał pieniądze — nie ufał bankom ani ich nie popierał — mianowicie miał tam schowek wmurowany w grubą ścianę, a nowy właściciel uznał, że taki schowek może mu się dobrze przydać. Przychodził do domku w nieregularnych odstępach czasu, jak zauważyli sąsiedzi. Nie zatrudniał rąk w gospodarstwie. Stara kobieta, sprowadzona z oddali, prawdopodobnie z Londynu, sądząc po jej akcencie, była jedyną stałą mieszkanką, która utrzymywała dom w porządku. Lecz w jakiś czas później obyło się bez jej usług. Stało się to niespodziewanie i nowy właściciel Collettowskiej Niedorzeczności — tak nazywano w okolicy gospodarstwo starego ekscentryka — zdawał się doskonale obchodzić bez niej.

Bywał tam przelotnie, nigdy nie spędzał więcej jak jedną noc.

Pewnego razu zauważono, że dom był zamieszkały. Widziano jakiegoś ponuro wyglądającego człowieka wędrującego polami. Z jedyne go komina, jaki dom posiadał, wychodziły smugi dymu. Prawie codziennie jakiś gość przyjeżdżał z Londynu, przebywał w domku godzinkę lub dłużej, po czym szybko odjeżdżał z powrotem w stronę Londynu. Czasem był to sam właściciel, czasem jego zastępca. Ci dwaj nigdy nie byli widziani razem, aż do tajemniczego pojawienia się Verity Bell w przebraniu chłopca owej nocy.

Padał deszcz ulewny, gdy Helder jechał do swojego domku wiejskiego. Sam siedział przy kierownicy, mając u boku Tigera Browna. Nie zamienili ze sobą ani słowa podczas całej jazdy. O drugiej godzinie nad ranem Helder zwolnił biegu wozu, w miarę jak zbliżali

<sup>56</sup>*ipso facto* (łac.) — na mocy samego faktu. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*in capite et membris* (łac.) — w głowie i członkach. Hasło reformy *in capite et membris* upowszechniło się w XV w. w kontekście reformy Kościoła katolickiego i przyswiewało soborom w Pizie, w Konstancji i w Bazylei. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*ogładnięt* — dziś popr.: obejrzał. [przypis edytorski]

się do skrzyżowania. Skręcił w uliczkę i zatrzymał maszynę przed ponurym domkiem. Na odgłos nadjeżdżającego automobilu z domku wyszedł człowiek, który momentalnie zniknął i powrócił z kluczem od dobudówki. Do niej Helder wprowadził wóz.

W mieszkaniu palił się silny ogień, mimo iż był czerwiec, i dwaj ludzie, przemoczeni i zziębnięci, stali przez chwilę w milczeniu. Trzeci obserwował ich z nachmurzoną miną.

— Będziemy przez jakiś czas bardzo zajęci — zagadnął go nagle Helder. — Macie dla Tigera inne ubranie?

Ponury dozorca kiwnął głową. Helder poszedł do swojego pokoju, wyciągnął szufladę, która zawierała całkowite ubranie, ubrał się prędko i wrócił do wielkiej izby, gdzie Tiger właśnie kończył przebieranie się.

Rozmawiali przyciszonym głosem, choć właściwie dozorca Collettowskiej Niedorzeczności nie mówił wiele, poza lakonicznymi odpowiedziami na pytania, które mu zadawano. Był to niski człowiek z krzaczastą, siwą bródką i kosmatymi brwiami, niemal w zupełności zakrywającymi bystre oczy, które błyskały od jednego do drugiego z ptasią nieomal szybkością.

— Co on teraz robi? — zapytał Helder.

Brodacz ruszył ramionami.

— Wariactwa — rzekł. Człowiek ten widocznie nie był zbyt skory do marnotrawienia słów.

— Co to znowu za nowy rodzaj wariactwa? — niecierpliwie spytał Helder.

Ten trzeci potrząsnął znów ramionami.

— Ot rysuje i pije — odparł. — Chce pan go zobaczyć?

Helder kiwnął głową.

Wydobyszy klucz z kieszeni, niski człowiek poprowadził. Helder nazywał go Clincker. Wspięli się po stopniach prowadzących na krużganek i dozorca otworzył stalowe drzwi komory. Razem weszli do środka. Brown również podążył za nimi.

Pokoik był oświetlony potężną lampą naftową wiszącą u pułapu. Był tam stół, krzesło i łóżko składane.

Przy stole siedział człowiek w koszuli i spodniach, który obrócił się wpół ku przybyłym. Stół był zarzucony narzędziami rytowniczymi i na poły wykończona płyta leżała przytwierdzona do deski rysowniczej.

— No, Maple? — powitał go Helder.

Tomasz Maple potarł palcem nieogolony podbródek i uśmiechnął się. Wstał do połowy.

— Chce mnie pan wypuścić? — zapytał drżącym głosem. — Uczyniłem to, czego pan ode mnie żądał, jeszcze więcej nawet, aniżeli pan żądał, i dziś jestem już chory z tego.

Helder uderzył go z lekka po ramieniu.

— Oczywiście wypuszczę pana — rzekł. — To pańska wina, że pan się tutaj znajduje.

Więzien był chory; nie trzeba było oka znawcy, by to stwierdzić. Ręce drżały mu nerwowo, z wyjątkiem chwil, gdy trzymał swoje ulubione narzędzia. Usta jego drgały konwulsyjnie. Wydawało się nieprawdopodobne, by te ręce, drżące niepewnie, mogły wyrycić tak piękne dzieło na płycie.

Helder spojrział nań i potrząsnął głową.

— Może pan to rzucić — rzekł — z tymi notami francuskimi i amerykańskimi skończyliśmy. Cała Europa ma je już na oku. Zrobimy jeszcze jedno pociągnięcie i koniec. Maple, musicie nam zrobić noty angielskie, które mają być ukoronowaniem dzieła waszego życia.

Maple wsunął ręce do kieszeni i cofnął się w tył na krześle. Nowe, dziwne zdecydowanie zarysowało się w jego zwisającej dolnej szczęce i w liniach jego ust. Helder zauważył to i zatrwożył się.

— Patrz pan, Maple — rzekł — przecież pan nie jest dzieckiem. Myślę, że ma pan już tego dość. Jak na człowieka, który dokonał najrzęczniejszych fałszerstw, jakie świat kiedykolwiek znał, jesteś pan szczególnie niepewnym gatunkiem. Winien nam pan złość za to, żeśmy pana tu sprowadzili i trzymamy tu pana od dłuższego czasu, jednakże ja panu powiadam, że uczyniliśmy panu łaskę. Mimo wszystko — ciągnął, widząc, że tamten nie daje żadnego znaku — nie robi pan teraz nic gorszego, aniżeli parę lat temu.

Zapalił cygaro i zaczął z wolna przechadzać się po pokoju, jak człowiek, który ma czas na wspomnienia.

— Sześć lat temu — powtórzył w zamyśleniu — słyszałem, że pan był najzręczniejszym rytownikiem banknotów w całej Austrii, że pan był w stanie wykonać z głowy każdy rysunek i każdą najbardziej skomplikowaną linię... z pamięci. Pan zrobił wtedy próbę ze stukoronówką, prawda, Maple? — Zapytał niby niechący, a Tomasz Maple wzdrygnął się cały.

— Rząd pana przyłapał — Helder ciągnął dalej — ale nie chciał skandalu, który ściganie pana musiałoby pociągnąć za sobą, a pan uciekł do Francji. Tam pan wstąpił do mennicy. Ktoś pana rozpoznał i pan wyjechał dalej. Gdzie to pana spotkał Gold? — zapytał nagle.

Człowiek na krześle zachował ponure milczenie.

— Sądzę — Helder ciągnął — że Gold zastosował tu zasadę: na złodzieja najlepiej nasadzić złodzieja, i stąd nasadził fałszerza, aby wykryć innego fałszerza, he?

Śmiał się, a Maple spojrzał nań i rozdzielił wargi, szczerząc swe brzydkie zęby w nieprzyjemnym grymasie.

— Nie śmiej się, przyjacielu — odezwał się. Głos jego drżał. — Mówi pan o czasie, kiedy nie miałem w sobie żadnej odpowiedzialności. Teraz jestem inny. Jestem zbrodniarzem, ponieważ mam skłonność — zniżył głos i zawahał się, po czym podniósł szybko głowę — do picia, jestem pijaczyną, i pan wykorzystał mój nałóg. Ja pana znam — kiwał głową powoli, ale groźnie, mówiąc te słowa — ja znam siebie.

Spuścił głowę na piersi. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach. Popadł nagle w milczenie.

Helder i Tiger Brown wymienili szybkie spojrzenie porozumiewawcze. Jak gdyby pod wpływem tego samego zamierzenia, spojrzeli na Clinkera, lecz ten potrząsnął głową w odpowiedzi na jakieś niewypowiedziane pytanie.

— Chodźcie — rzekł Helder przymilająco — napijmy się razem i pomówimy o wszystkim.

Maple wstał, z drżeniem podpierając się rękami o stół. Coś na niego przyszło, zauważył Helder, jakaś godność, której, jak długo go znał, nie przypominał sobie u niego. Przy całej swojej godnej pożałowania postaci, w jego zachowaniu się i postawie czuło się jakąś nieprzeczuwaną moc.

— Nie będę pił — powiedział spokojnie. — Pan nie wie, co to dla mnie znaczy. Picie stało się częścią mojego życia, tak jak dla pana powietrze, jak woda dla ryb; lecz wyrzekłem się picia i będę odtąd trzeźwy. Spadłem aż na samo dno i wspiałem się na szczyt.

Twarz Helderza pociemniała.

— Nie zrobicie tego, czego od was żądam? — spytał ostrym tonem. — Jeżeli się stąd wydostaniecie, dostaniecie się do więzienia. Pan posunął się zbyt daleko, Maple, nie zniesimy tego szaleństwa. Nie masz dla pana drogi do pokuty, tak jak nie ma i dla mnie. Pan znajdujesz się z nami razem i pozostać tu musisz z nami, aż do końca.

Maple potrząsnął głową z wolna.

— Ja panu powiadam, że pan nie wydostanie się z tej sprawy tak łatwo — powtórzył Helder — pan wykonałeś dla nas robotę z własnej woli, a teraz pan musisz ją wykonać dlatego, że ja tak chcę. Czy pan myślisz — drwiąco ciągnął — że pana puszcze na świat, aby pan wyszedł z płaczem pokornym i wyznał wszystko przed sympatycznym detektywem ze Scotland Yardu? Nie jestem takim szaleńcem, jak pan myślisz. Cenię swoją wolność, swoje stanowisko w społeczeństwie zbyt wiele, abym miał do tego dopuścić!

— Ze mną koniec — mruczał tamten — koniec, koniec...

— To nieprawda — rzekł Helder — jeszcze do tego daleko. Masz pan wejść w normalny stan, bez względu na to, czy nim jest normalne picie, czy normalna trzeźwość. Patrz pan — rzekł, kładąc mu rękę na ramieniu — przypuśćmy, że wyjdzie na jaw, że ja byłem odpowiedzialny za tę powódź fałszyfikatów. Wie pan, co to znaczy? To znaczy dożywotnie, ciężkie więzienie. Teraz żyję życiem miłych ludzi, wśród miłych osób i pięknych kobiet; potem musiałbym to życie zamienić na coś gorszego od śmierci. Zatem chyba pan na chwilę nie przypuści, że byłbym w stanie poddać się takiemu wegetowaniu, pójść do

Pijaństwo

Bunt

Pijaństwo

więzienia w słodkiej nadziei, że wreszcie uda mi się zebrać okruszyny życia, aby dokończyć marnie lat starości w nędzy?

Śmiał się. Ta myśl zdawała się bawić go w sposób niezwykle ciekawy.

— Nie, przyjacielu, gdy zostanę wykryty, umrę prędko; boleśnie, być może, lecz ból będzie krótkotrwały. Jeżeli zaś jestem przygotowany na to, aby popełnić samobójstwo, w takim razie jestem tym bardziej gotów zabić każdego, kto odważy się stanąć między mną a pomyślnym wynikiem mojego przedsięwzięcia. Falszowałem, kłamałem i kradłem, ale na to, aby dokończyć tego, co sobie postanowiłem. Jestem przygotowany na to, by dołączyć morderstwo do listy moich grzechów, o ile tego będzie potrzeba. Czy rozumiano?

Maple patrzył nań obojętnie, potrząsając głową.

— Czy rozumiecie? — powtórzył Helder. — O ile będzie potrzeba, zabiję was. Zastrzelę was jak psa, zanim zastrzelę sam siebie. Macie mi się zająć tymi banknotami angielskimi. Ma się to stać prędko; obecnie policja myśli o dolarowych. Za miesiąc lub dwa zauważą może francuskie, które puściliśmy na rynek.

Dziwne światło zabłysło w oczach Maple'a.

— Są wypuszczone na rynek, powiada pan?

Okazał silne zainteresowanie. Helder kiwnął głową.

— Odeszła pierwsza paczka. Teraz — powiedział z nagłym ożywieniem — porozumiejmy się, Maple. Zrobi pan, jak tego żądałem?

Maple ruszył ramionami z lekkim gestem rozpaczy.

— Przypuszczam — rzekł. — Mam... mam odpowiedzialność. Mam bratanicę, Helder, niezaopatrzoną, która się gryzie z mojej przyczyny, i to mnie gnębi.

Helder ukrył ręką uśmiech tłoczący mu się na usta.

— Jest ona zaopatrzona — zauważył. — Mówiłem to już panu dawniej.

— Ale w jaki sposób? — zapytał tamten. — Ona nie jest zdolna do przyjmowania pieniędzy od niewiadomych osób.

— Jest zaopatrzona — powtórzył Helder.

Człowiek nazywany „Clinker” podniósł rękę, czyniąc w ten sposób znak przestrogi i nakazując zebrany milczenie.

Poczęli nad słuchiwać.

— Ktoś tam nadjeżdża drogą — rzekł. — Zejdę na dół, aby zobaczyć, kto to taki.

Otworzył drzwi i zamknął je za sobą. Usłyszeli otwieranie ciężkich drzwi z dołu. Nastąpiła przerwa, po czym drzwi znów się zatrzasnęły. W chwilę potem Clinker wrócił z telegramem w rękę.

— Był chłopiec z telegrafu — powiedział. — To dla pana.

Wręczył go Brownowi, który rozdarł telegram i przeczytał.

— Co jest? — zapytał Helder.

— Aresztowali Schreiner w Paryżu, podczas gdy puszczał banknot tysiącfrankowy — rzekł Tiger Brown, przy czym głos jego brzmiał niepewnie.

Stali, patrząc jeden na drugiego. Twarz Browna pracowała kurczowo. Helder zbladł. Clinker był niezmiernie mało zaniepokojony. Był to zbyt stary ptaszek, zbyt filozoficznie usposobiony łotr, aby się przejmować groźącym niebezpieczeństwem. Za to twarz Maple'a ożywiła się z zainteresowania; jego mętne oczy błyszczały, wargi poruszały się, jak gdyby coś wypowiadał.

— Schriener aresztowany w Paryżu? — rzekł z zaciekłością. — Tysiącfrankówka... czy to nie moja?

Helder patrzył na niego, nie mówiąc ani słowa, i kiwnął mu ponuro głową.

— Ha! — zawołał Maple i opadł na krzesło.

Helder i Tiger Brown odjechali pospiesznie z powrotem do Londynu, skoro tylko zaświtał dzień. Tworzyli małą parę ludzi — żaden z nich nie miał ochoty do mówienia, o ile chodziło o ich nielegalny interes. Blisko Waltham Cross Brown nagle powiedział:

— Nie mogę tego Maple'a pojąć.

Helder siedział przy kierownicy. Patrzył prosto przed siebie, mówiąc:

— Ja go rozumiem. Widzi on nasz koniec, albo mu się tak zdaje, ale... — Nie wyrzekł ani słowa więcej.

Tiger czekał, póki tamten nie dokończy, widząc zaś, że ten nie ma ochoty do wywężtrwania się, zrobił próbę mówienia o tym, co było mu bliskie.

— Pan mówił o zabiciu Maple'a — rzekł wolno. — *I guess* pan go chciał nastraszyć.

— Żadne nastraszanie — odparł Helder, zręcznie wymijając wóz jarmarczny. — Zabiłbym jego i każdego innego, kto odważyłby się mnie zdradzić. I każdego innego — powtórzył z naciskiem.

— Rozumiem — rzekł Tiger Brown.

Nie mówili więcej ze sobą.

Helder zostawił swojego towarzysza w City i pojechał dalej do garażu, w którym trzymał zawsze swój wóz. Oddał maszynę mechanikowi i poszedł pieszo na Curzon Street.

Sieć zaciskała się na nim, czuł to. Rosjanin uwięziony, Schriener w rękach policji francuskiej, Maple dojrzały do buntu — oznaki były niezdrowe. Omylił się na Maple'u. Zanadto ufał jego skłonności do picia. Uprowadził go, mając na oku dwa cele, i wyniki usprawiedliwiały środki, gdyż z jednej strony Verity Bell była w Londynie, z drugiej strony Comstock Bell gdzieś w tyle krył się z nieznanymi mu przyczyn.

W nieokreślony jakiś sposób czuł, że nowe powinowactwo może mu się do czegoś przydać, gdy przyjdzie nań ostatnia chwila.

Poszedł do swojej pracowni. Leżało w niej wiele korespondencji, gdyż zyskiwał na popularności i otrzymywał w ostatnim czasie liczne zaproszenia. Wzdrygnął się nieco na myśl, co może się stać, jeśli jego plany nie powiodły się.

Przeglądał listy jeden za drugim, czynił to jednak pospiesznie, bez większego zainteresowania, zwracając tylko uwagę na pisma odręczne i znaczek pocztowy. Przy jednym zatrzymał się: list pochodził od kogoś nieznanego.

Otworzył go. Pochodził od wydawcy „Post Telegramu”.

„Zechce nas Pan odwiedzić?” — brzmiał list. — „Nastąpił pewien zwrot w tajemniczej sprawie Comstocka Bella, a ponieważ Pan był w możności udzielić nam tyle cennych wiadomości, będzie Pan mógł wyświecić nowy zwrot w sprawie. Mamy powód do przypuszczania, że pani Comstock Bell nie żyje”.

Helder położył list i wyglądał<sup>59</sup> przez okno. Myślał niegdyś, że potrafi wyjaśnić tę tajemnicę. Teraz wydawało mu się, że sprawa pogłębiła się o wiele bardziej, aniżeli przypuszczał.

## ROZDZIAŁ VIII. W WIĘZIENIU

Taksówka zawiozła go do redakcji dziennika. Wydawca nie był jeszcze w biurze, lecz w oczekiwaniu przybycia Helder młody reporter Jackson przywitał go z żywą radością.

Sklonił się Helderowi i z przyjaznym uśmiechem zaprowadził go do pokoju dla stron.

— Co się stało? — zapytał Helder, usiadłszy na miękkim fotelu.

— Bodajby mnie zastrzelono, jeżeli wiem — wyznał tamten.

Chodził tam i z powrotem po pokoju z rękami w kieszeni, z widocznym, szczerym zakłopotaniem.

— Wie pan — rzekł — że po wyjeździe Comstocka Bella i ukazaniu się pani Comstock Bell w tak straszliwy sposób wszystkie środki, które były do dyspozycji dziennika, zostały użyte, aby odszukać państwo Comstocków Bellów. Mimo iż otrzymaliśmy pismo od Comstocka Bella adresowane do nas z Lucerny, wiedzą z całą pewnością, że Comstock Bell nie był w tym mieście. Dostaliśmy drugi list z Wiednia.

— Co za list? — spytał Helder.

— Zwykły list, na maszynie pisany, podpisany pieczętką gumową i kontrasygnowany imieniem jego żony. Ten list otrzymaliśmy. Znowu pochodził z modnego hotelu i znowu nasz korespondent odkrył, że takiej pary nie było tam *nigdy*. Puściliśmy w obieg, jak panu wiadomo, przezorną opowieść o tym tajemniczym zdarzeniu. Nasi najzdolniejsi ludzie byli na tropie pary, mimo to jednak nie spotkali się z nimi. Okręty pasażerskie były pod obserwacją; również parostatki krążące po kanale La Manche, a niemal wszędzie

<sup>59</sup>wyglądał — dziś popr.: wyjrzał. [przypis edytorski]

w Europie mamy sieć korespondentów, mających dostęp do miejsc, w których nie wolno znaleźć się prywatnemu detektywowi. Jednak wszystkie nasze wysiłki okazywały się bezowocne... aż do zeszłej nocy.

— Co takiego zaszło? — zapytał Helder.

— Jeden z naszych ludzi, który trzymał straż w Boulogne i uważał na wszystkie okręty pasażerskie, po odejściu łodzi sprowadzającej pasażerów na brzeg udał się na krótki odpoczynek do kasyna. W drodze minął pewną damę, która widocznie bardzo się spieszyła. Szła w tym samym kierunku i pomyślał sobie, że może i ona idzie do kasyna. Nie zwracał na nią większej uwagi, aż dopiero gdy zauważył, że nie szła do kasyna, gdyż, oglądając się raz, zobaczył, że nie szła za nim. Zwrócił na nią baczniejszą uwagę: kobieta ta przypominała mu osobę, którą miał wysledzić. I rzeczywiście, w świetle, które padło na nią w portyku, poznał ją. Natychmiast puścił się w jej stronę. Spieszyła w dalszym ciągu i wybrała krótką drogę ku drewnianej tamie biegnącej do morza. Wahał się przez jakiś czas, czy ma iść za nią, czy nie; wiedział jednak, że musi ona wrócić się tą drogą, którą poszła. Czekał więc z zadowoleniem na końcu tamy. Czuwał tak przez dwie lub trzy godziny i, gdy ona się nie pokazywała, poszedł wzdłuż tamy, aż doszedł do stacji sygnałowej. Ku jego zdziwieniu, zniknęła mu. Był sam na brzegu — z pewną chęcią uczynienia wrażenia Jackson urwał.

Helder kiwnął z lekka głową.

— No i? — spytał.

— Dziś rano — ciągnął Jackson — dostaliśmy list z Boulogne. Podpisany był Comstock Bell i żona. W liście protestowali przeciw kontynuowaniu tego, co nazwali „ściganie nas”. Oto list.

Podał mu papier. Helder nie zadał sobie trudu czytania. Z lekkim kiwnięciem głowy wręczył mu list z powrotem.

— Rozumiem — rzekł. — Czy widziano gdzieś Comstocka Bella?

— Nigdzie. Nasza teoria odnośnie Verity Bell jest, że musiała utonąć — rzekł reporter. — Noc była pochmurna i innej drogi oprócz tej, na której stał nasz człowiek, nie było.

Helder wstał i wyglądając przez okno.

— Czy moglibyście panowie zrobić mi grzeczność? — zapytał.

— Jeśli tylko jest w naszej mocy — odparł reporter z uśmiechem. — Możemy wiele uczynić.

— Parę tygodni temu — zaczął Helder z wolna — aresztowano pewnego Rosjanina jako podejrzanego o jakieś przestępstwo.

— Przypominam sobie — rzekł Jackson — skazano go na trzy miesiące więzienia z wydaleniem z granic państwa jako karą dodatkową.

— Tak — potwierdził Helder ze spokojem. — Otóż gdybym mógł pomówić z tym człowiekiem, mógłbym może rozwiązać zagadkę zniknięcia pani Comstock Bell. Czy mogliby panowie uzyskać zezwolenie ministerstwa spraw wewnętrznych?

Jackson ściągnął wargi, wyrażając tym wątpliwość.

— Nie jestem pewny, czy to się da zrobić — rzekł. — W każdym razie spróbuję. Skoro szef przyjdzie, pomówię z nim.

W parę chwil potem Helder poszedł. Wrócił do mieszkania na Curzon Street. Dowiedział się telefonicznie, że Golda nie było w mieście.

— Tym lepiej — powiedział Helder do siebie — sądzę, że jeśli pozostawią mnie sobie samemu, dam sobie radę ze wszystkim.

Z tą uwagą przeszedł do sypialni i położył się na parę godzin, aby powetować sobie nieprzespaną noc.

Zbudził go służący o piątej godzinie po południu, przynosząc mu telegram. Redakcja dziennika komunikowała mu:

„Widzenie urządzone: pański Rosjanin jest w Chelmsford Gaol<sup>60</sup>. Proszę przyjść do biura po rozkaz ministerstwa”.

Jacksona nie było, lecz wydawca przyjął go i wręczył mu upoważnienie, prosząc go, aby usiadł.

<sup>60</sup>Chelmsford Gaol — lokalne więzienie w mieście Chelmsford w hrabstwie Essex, 42 km na płn.-wsch. od Londynu. [przypis edytorski]

— Nie jestem z natury ciekawy — rzekł wydawca — lecz mimowolnie zastanawiam się, co pana skłania do złożenia wizyty temu więźniowi. Czy pan uważa, że zachodzi związek między Comstockiem Bellem a tymi fałszerstwami na wielką skalę?

Helder z powagą skinął głową.

— Tak jest — rzekł.

W paru słowach opowiedział historię Klubu Zbrodniarzy i udział Comstocka Bella w owym klubie.

— Hm — zauważył wydawca, gdy Helder skończył — słyszałem o tym. Była to całkiem przeciętna mania wariacka. Widziałem już takie rzeczy u młodzieży, czasem nawet gorsze. Pan mówi, że Bell zdradził tego swojego kolegę Willettsa?

— Jestem i o tym przekonany — rzekł tamten. — Willettsa z rozmysłem i zdradziecko oddał Bell w ręce policji dla ocalenia swojej własnej skóry.

— Co pan sądzi o jego obecnym zniknięciu? — spytał wydawca, patrząc nań byстрыm wzrokiem.

Helder zawahał się. Mimo iż o tej sprawie wciąż myślał, wprost dniem i nocą, w ciągu całych miesięcy o niczym innym nie myślał jak tylko o tym — rzecz ciekawa, że nie mógł sformułować żadnego schematu, który by rzucał pewne ściśle określone podejrzenie na Bella. Łatwo było robić aluzje do zamknięcia Amerykanina i przy tym kiwać głową znacząco, by w ten sposób dać do zrozumienia, że zachodzi związek między Bellem a nieznanymi zbrodniarzami. Inna rzecz jednak podać dokładne fakty i daty.

— Nie mogę teraz powiedzieć — rzekł. — Osobiste moje zdanie jest, że ożenił się z tą dziewczyną dlatego, że potrzebował narzędzia, które nie zdradziłoby go w razie wykrycia. Sądzę, że w obecnej chwili pracuje nad dokonaniem ostatecznej, rozpaczliwej próby.

— Wybacz pan — przerwał mu wydawca — ale wszak wiadomo, że Comstock Bell jest bardzo bogaty.

Wydawca był praktycznym, trzeźwo na rzeczy zapatrującym się człowiekiem, bez cienia romantyczności w usposobieniu, zdrowo umiejącym ocenić wszelkie możliwości.

— Nie tylko, że był przedtem bogaty, ale obecnie jest jeszcze bogatszy.

— Obecnie? — zdziwił się Helder.

Wydawca potwierdził ruchem głowy.

— Tak jest. Jego matka, która w ostatnich czasach była cierpiąca, zmarła w ubiegłym tygodniu. Była o tym wzmianka w wielu pismach. Zostawiła mu po sobie cały majątek. Był już przedtem bogaczem; obecnie jest co najmniej milionerem. Byłoby to dziwne zajęcie — dodał — niczym nieuzasadnione.

— Nieuzasadnione było też to niezwykle małżeństwo — podchwycił Helder.

— Małżeństwo jest zawsze uzasadnione — zwięźle poświadczył wydawca. — Gdybyśmy mieli szukać racjonalnej przyczyny, dlaczego A ożenił się z B, musieliśmy zapełnić nasz dziennik większą ilością tajemnic w ciągu jednego dnia, aniżeli zmieściłoby się w przeciętnym numerze w ciągu całego roku. Powtarzam, że nie ma żadnego motywu, żadnej przyczyny w świecie, która by skłoniła Comstocka Bella do wdawania się w fałszerstwa. Jednakże — uśmiechnął się, wyciągając doń rękę — pański Rosjanin może panu coś opowie. Do widzenia.

Helder spędził wieczór w teatrze. Wcześniej rano pojechał pociągiem do Chelmsfordu. O godzinie dziewiątej zajeżdżał taksówką pod ponury gmach i został zameldowany w biurze dyrektora.

Pułkownik Speyer, o szpakowatej brodzie, przyjął go.

— Chce pan widzieć się z naszym Rosjaninem? — rzekł. — O tak, to jest jedyny Rosjanin, którego mamy u nas i mamy z nim pewien kłopot. Widzi pan, nikt nie zna jego języka i jesteśmy zmuszeni angażować kogoś na dwa lub trzy razy w tygodniu, aby dowiedzieć się, czy mu czegoś nie potrzeba i tłumaczyć mu przepisy więzienne.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział Helder, podczas gdy dyrektor wyprowadzał go z biura — jak to się stało, że tego człowieka umieszczono w takim Chelmsfordzie? Takie więzienia są wszak przeznaczone specjalnie dla miejscowych delikwentów.

— Mamy tu wszelkiego gatunku ludzi — odparł. — Jest to jedno z więzień, w których długoletni więźniowie odbywają służbę poprawczą, zanim zostają przenieszeni do Portland lub Dartmoor. Mamy tu różnych drabów. Może skoro pan ukończy swoje wi-



dzenie się z tym człowiekiem... *a propos*, czy pan mówi po rosyjsku? — przerwał sam sobie.

Helder potwierdził, a dyrektor spojrzał nań z niedowierzaniem.

— Uważam, że ktoś winien być przy tym, kto pana rozumie — zauważył, rzucając okiem na rozkaz ministerialny — lecz mogę panu zaufać, że pan nie popełni nic sprzeciwiającego się przepisom — i podał mu zwięzłe tematy, na które jest wzbronione zadawać pytania i odpowiadać.

Zaprowadził Heldera do pustego pokoju, w którym znajdował się tylko długi stół z deski, wyszorowany do oślepiającej białości. W parę chwil potem Rosjanin wszedł do pokoju. Ubrany był w przykry, kurzawy uniform aresztancki, a jego małe oczka strzeliły radośnie, gdy ujrzał swojego byłego pracodawcę przed sobą.

Usiadł przy jednym końcu stołu, a Helder przy drugim, zaś między nimi dwaj dozorczy, ludzie o obojętnej minie, pozornie znudzeni.

Helder zauważył, że w czasie ich rozmowy ci dwaj zajęci byli pilnym pisaniem czegoś. Domyślił się, że zapewne układali swoje sprawozdania i podziwiał do pewnego stopnia ekonomię wewnętrzną więzienia, zastanawiając się przy tej sposobności nad zajęciami takich dozorców więziennych i nad sposobem ich wypoczynku.

Widzenie nie trwało długo: najwięcej chodziło mu o ostrzeżenie Rosjanina, aby się nie ważył wygadać. Przyrzekł mu sowite utrzymanie za wypuszczeniem z więzienia. W ciągu rozmowy przekonał się, że ze strony tego człowieka nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Wstając, miał przynajmniej przeświadczenie, że ta wątpliwość zniknęła mu z umysłu.

Został dyrektora czekającego nań na dworze.

— Chciałby pan zobaczyć więzienie? — zapytał przedstawiciel władzy.

Pysznił się swoim urzędem: pysznił się dyscypliną, czystością i porządkiem panującym w zakładzie więziennym.

— Z całą przyjemnością — powiedział Helder.

Zastanawiał się przedtem, czy nie będzie miał trudności w uzyskaniu pozwolenia, które zostało mu jednak z taką gotowością udzielone. Dyrektor oprowadził go po wielkiej hali, gdzie rzędami wznosiły się cele od samej ziemi aż po szklany dach. Stalowe, błyszczące krużganki biegły z trzech stron gmachu, a między każdym piętrem rozpościerała się gęsta sieć metalowa.

— Musimy to mieć — rzekł dyrektor. — Były niedawno dwa wypadki usiłowanego samobójstwa.

Zaprowadził go do jednej z cel. Na jego żądanie zamknięto za nim bramkę. Odczuwał chorobliwe pragnienie uzmysłowienia sobie, czym jest więzienie, jednakże zadowolony był, gdy usłyszał zgrzyt zamka i otworzono bramkę ponownie.

— Więźniowie odbywają właśnie ćwiczenia — rzekł dyrektor.

Poprowadził go na podwórze. Pokazał mu tragiczną budkę straceńców, groby morderców pod murem i ich inicjały wyryte w kamieniu.

Grupka więźniów ćwiczyła na podwórzu, maszerując wokół trzech kolisk wyłożonych taflami kamiennymi. Helder obserwował przechodzących obok. Byli tam starzy i młodzi. Niektórzy, obojętni na jego wzrok badawczy, zwracali spojrzenie z całą bezczelnością. Inni znów zwracali głowę do połowy, przechodząc obok niego. Jednym z takich był rosyjski mężczyzna, o wiele wyższy od swoich towarzyszy. Ruchy tego człowieka wydały się Helderowi jakoś znajome i począł mu się lepiej przyglądać z tyłu, a gdy zbliżał się kołem ponownie w jego stronę, utkwiał w nim wzrok. Z trudnością udało mu się stłumić okrzyk, który cisnął mu się na usta, albowiem poznał twarz tego człowieka.

Był to Comstock Bell!

— Co się stało? — zapytał dyrektor skwapliwie.

— Ten człowiek... ten wysoki, kto to jest?

— Ten — wskazał dyrektor oddalającego się — to jest Willetts, fałszerz pieniędzy!

## ROZDZIAŁ IX. WIADOMOŚĆ NA BANKNOCIE

Helder wrócił do Londynu, czując zawrót w głowie. Miał od dawna przecucie, na czym polega właściwie sekret Comstocka Bella, obecnie mógł wypełnić niejasne punkty w swym rozumowaniu.

Więzienie

Comstock Bell i Willetts byli jedną i tą samą osobą. Willetts prawdopodobnie umarł i, aby uniknąć skandalu, Bell przybrał jego imię i prowadził podwójne życie, aby móc dobrowolnie pod przybranym nazwiskiem oddać się w ręce karzącej sprawiedliwości.

W ten sposób wyjaśniało się wiele rzeczy, które przedtem były dlań niewytłumaczone. Comstock Bell wykorzystał swoje wpływy, aby na czas rozprawy sądowej oddalić z Anglii tak Golda jak i, pozornie, siebie samego. Stało się to teraz oczywiste.

Nagła myśl przeszła go. Comstock Bell wiedział tak wiele, że mógł poruszyć wszystkie sprężyny w Ameryce, znał pełną miarę winy Helderera. Znaczyło to tyle, że dnie międzynarodowych fałszerzy są policzone. Willetts został skazany na dwunastomiesięczne więzienie. Według panującego systemu karnego miałby odsiedzieć tylko dziewięć miesięcy, po czym byłby wypuszczony na wolność. A Comstock Bell wypuszczony na wolność stanowił największe niebezpieczeństwo, jakie fałszerzom mogło zagrażać.

Zatelegrafował po Tigera Browna i w paru słowach wyjaśnił mu sytuację.

— Teraz wiemy już dlaczego Comstock Bell ożenił się — rzekł. — Tajemnica obandażowanej ręki również nie jest więcej tajemnicą. Comstock Bell nagle przestał pisać listy i zabrał się do maszyny do pisania, tak że w czasie jego nieobecności mógł się posługiwać agentem, który prowadził nadal korespondencję za niego. Musiał znaleźć agenta, któremu mógłby bezwzględnie zaufać. Ożenił się z Verity Maple, która też do dziś dnia pisuje mu listy z różnych stron Europy, przelotnie podróżując tu i tam, być może, że nie siedząc w hotelu dłużej aniżeli parę godzin przy śniadaniu, natomiast korzystając ze sposobności, aby zabrać ze sobą parę arkuszy papieru listowego z nagłówkiem hotelu.

— Ta rzecz wydaje mi się niejasna — powiedział Tiger Brown, nieodznaczający się widocznie zbyt bujną wyobraźnią. — Dlaczego Bell miałby iść na ochotnika do więzienia? Tego rodzaju szaleństwa nie mogę zrozumieć.

Helder nie dał zaraz odpowiedzi. Rozumiał on lepiej od swojego współnika straszną tyranię sumienia. Znał on trwogę, która prześladowa i nie daje spokoju, straszną obawę przed wykrzykiem, która nawiedza ludzi i doprowadza bardziej uczuciowych do szaleństwa, a słabych z natury do picia.

Przy tym w grę wchodziła jeszcze matka Comstocka Bella. Helder słyszał o tej chorowitej staruszce, która żyła do niedawna w Nowej Anglii i była dumna ze swego syna, niezwykle dumna z blasku rodziny. Ona była niewątpliwie dla Comstocka czynnikiem decydującym.

— Dla mnie ta sprawa nie wydaje się szaleństwem — rzekł, cedząc słowa z wolna. — Musimy z tego zbić kapitał, Tiger. Mamy w rękach dwie potężne maczugi.

— Mianowicie? — zapytał drugi.

— Znamy sekret Bella, trzymamy w ręku Tomasza Maple'a. Mamy związek przeciw mężowi i żonie i od nas zależy wykorzystać szanse na naszą korzyść.

Posiadał w samej rzeczy potężną broń w ręku. Przy tym jak długo Comstock Bell był w więzieniu, miał do pewnego stopnia swobodę ruchów. Nie potrzebował się obawiać, że Comstock Bell użyje swoich wiadomości, aby go zniszczyć.

Pozostawał tylko Gold. Helder pomylił się odnośnie Golda. Znał go z dawna bardzo blisko i nie cenił go, jak należało. Nic zresztą w tym dziwnego, albowiem Gold nie wykazywał dotąd niezwykłych zdolności jako detektyw. Dwa razy Helder popadł w konflikt z Goldem i dwa razy uległ mu Gold z łatwością.

Nie odczuwał żadnej obawy w dwa dni potem, gdy otrzymał uprzejmy list od detektywa ambasady z zaproszeniem do Savoy<sup>61</sup>. Gold wrócił do Londynu, tak brzmiał list, i gdy Helder wchodził do gabinetu Golda, widział jeszcze w korytarzu bagaże detektywa ze świeżymi etykietami kolejowymi z Paryża.

Detektyw spojrzął na wchodzącego.

— Proszę, spocznij pan, Helderze — powitał go.

Sam wstał, podszedł ku drzwiom, zamknął je i nie usiadł wcale z powrotem. Helder rozparł się w bujaku.

Gospodarz zdawał się zakłopotany, jakby nie wiedział, od czego zacząć. „Nowa oznaka słabości” — pomyślał sobie Helder, obserwując z satysfakcją zaambarasowanie detektywa.

— Prosiłem pana do siebie — powoli Gold zaczął — i chcę być wobec pana otwarty.

<sup>61</sup>Savoy — luksusowy hotel, otwarty w 1889 r. w centrum Londynu. [przypis edytorski]

— Skoro ktoś powiada, że chce być otwarty — odparł gość spokojnie — znaczy to, że chce być napastliwy.

Gold skinął głową.

— Chcę być napastliwy — rzekł — ale masz mnie pan najpierw wysłuchać.

Zaczął przechadzać się po niewielkim pokoju, mówiąc urywanymi zdaniami.

— Od dwunastu miesięcy — powiedział — jestem na tropie bandy fałszerzy puszczających w obieg podrabianą walutę.

— O ile zdołałem sobie zdać sprawę — zauważył oschle Helder — miałem również zaszczyt otrzymania pewnych wzmianek z pańskiej strony, że nie jestem bez pewnej winy w tej sprawie fałszowania pieniędzy?

— Nie tylko wzmiankowałem — powiedział Gold z oziębłością w głosie — oskarżałem.

Spojrzał na gościa, który z uśmiechem i wygodnie siedział, a raczej leżał rozparty na bujaku.

— Wiem — ciągnął — że pan jesteś jednym z nich. Wiem też, że w pańskich ostatnich bohaterkich czynach w dziedzinie wyższej finanserii<sup>62</sup> — uśmiechnął się drwiąco — posłużyłeś się pan pomocą Tomasza Maple'a.

Gold zbyt bliski był prawdy, by to nie sprawiło na Helderze nieprzyjemnego efektu. Niemniej jednak udał zupełną obojętność.

— Pan jest zabawny — rzekł.

— Maple — ciągnął Gold — sfalszował banknoty frankowe. Mam na to dowód. Przyniosłem je panu, Helderze, aby panu zwrócić uwagę, że albo pan wycofa się z tego interesu, i to prędko, albo będzie skandal anglo-amerykański, jakiego ta mała wioska jeszcze dotąd nie widziała od początku swego istnienia.

Helder parsknął śmiechem.

— Chciałbym pójść panu na rękę — rzekł ze swobodą. — Gdybym miał nieco zdolności aktorskich, padłbym przed panem na kolana i wyznałbym panu winę, aby oddać się w ręce władz karnych. Chciałbym to uczynić — mówił dalej przeciągłym głosem — mam wrażenie, że tego rodzaju postępek odpowiadałby doskonale melodramatycznemu charakterowi prowadzonych przez pana dochodzeń.

Wstał i ujął kapelusz i rękawiczki.

— Niestety — ciągnął — nie mogę panu zrobić tej przyjemności. Rzuciłem pan na mnie najgorsze podejrzenia — machnął ręką z doskonałą oznaką obojętności — nie chcę o tym mówić. Tłumaczę to sobie tym, że pan jest w wielkim kłopotcie z tą sprawą, jasna rzecz — rzekł w tonie mieszaniny współczucia i protekcyjności. — Pańskim zadaniem jest wynaleźć zbrodniarza, a gdy się panu to nie udaje, musi pan wymyślić jakąś bajkę, aby było co do opowiadania. Wiem, że nie jestem *persona grata*<sup>63</sup> u pańskiego szefa i przypuszczam, że nietrudno przyjdzie mu przyjąć za prawdę opowiadanie o mnie, że z niewinnego agenta giełdowego stałem się niebezpiecznym przywódcą międzynarodowej szajki fałszerzy pieniędzy papierowych — śmiejąc się, ciągnął dalej. — Wspaniała historia; pan powinien zabrać się do pisania opowieści, panu dobrze jest wiadomo, że Comstock Bell jest głównym bohaterem tej sztuki.

Ktoś lekko zapukał we drzwi. Żaden z nich jednak nie dosłyszał. Gold zbyt był zajęty obserwowaniem Helderza. Bawił się wprost studiowaniem tego człowieka, co do którego nie miał żadnej wątpliwości, że jest zbrodniarzem, który jednak potrafił w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa przybierać tak bezczelnie obojętną minę.

— Comstock Bell — ciągnął Helder — jest fałszerzem, jak panu wiadomo.

— Tak samo, jak wiadomo jest, że Korneliusz Helder jest najbardziej niebezpiecznym kłamcą — odezwał się miły głosik za jego plecami.

Ten obrócił się. W drzwiach stała kobieta, smukła, pełna wdzięku, szykownie ubrana. Wniosła ze sobą delikatny zapach rzadkich kwiatów.

Twarz Helderza pokryła się ciemną czerwienią, nie spuścił jednak bezczelnego wzroku, którym spojrzał na uśmiechniętą postać niewieścią stojącą u wejścia.

— Czy wolno? — zapytała słabym głosem.

Dama

<sup>62</sup>*finanseria* (daw.) — spekulacja pieniężna. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*persona grata* (łac.) — osoba mile widziana w danym towarzystwie. [przypis edytorski]

Gold przysunął krzesło i zamknął za nią drzwi, zapraszając ją do wejścia.

— Żałuję mocno — powiedziała — że przerwałam skecz charakterystyczny w najciekawszym momencie.

Wyjęła ze złoconej torebki małą zieloną flaszeczkę wonnych korzeni i przytknęła ją osłabionym ruchem do pięknie rzeźbionego noska.

Na twarzy Heldera pojawił się brzydki uśmiech.

— Rozumiem pani stanowisko, *mistress* Granger Collak — odezwał się. — Mimo to jednak pozwalam sobie zauważyć, że nie jest zwyczajem w dobrym towarzystwie rzucać komuś kłamstwo w twarz — uśmiechnął się. — Czy dawno już temu, jak pani była, że tak powiem, na wodzie...?

Gold zatrwożył się nie z obawy, lecz o to, czy pani Granger Collak da sobie radę sama z tym człowiekiem. Postanowił zostawić jej swobodę działania, jak uważała za najlepsze. Jej przybycie było nieoczekiwane. Miał jakieś słabe pojęcie o tym, że była we Francji. Zastanawiał się, co ją sprowadziło do niego.

— Tak — rzekła kobieta miłym głosem — już dawno temu, jak byłam... na wodzie. Pan jeszcze wówczas pluskał się na brzegu — uśmiechnęła się — ale ja byłam „na wodzie”, jak pan dobrze wyraził, dość długo, by poznać Comstocka Bella, i znam go też jako prawdziwie zachwycającego gentelmana, klnę się na mój honor, jako szlachetnego człowieka.

— Nie mam na myśli jego szlachetności — znacząco podchwycił Helder — być może, że pani może o tym więcej powiedzieć aniżeli ja.

Znaczenie, jakie przywiązywał do tych słów, nie ulegało żadnej wątpliwości.

Pani Granger Collak wydobyła z torebki złotą papierośnicę, otworzyła ją i zapaliła wziętego z niej papierosa. Leżała w tył oparta na krześle, obserwując tamtego spod przymrużonych, uśmiechających się oczu.

— Tak — rzekła, rzucając zapalną w ogień — pan Comstock Bell był dla mnie bardzo szlachetny, niezwykle szlachetny w swoim sądzie.

— Pani, zdaje się, powiedziała „na mój honor”?

Skinęła głową.

— To były moje słowa — rzekła spokojnie.

— Pani, zdaje mi się, jest wprost autorytetem na polu tak zwanych honorowych postępów?

— Absolutnie — odrzekła — miałam do czynienia z niehonorowymi ludźmi i sama popełniłam niehonorowe czyny. To pan wszak chciał powiedzieć, czy nie?

Uśmiechnęła się ponownie, on zaś był uderzony bezpośredniością ataku.

— Jednakże nigdy nie oczerniałam nikogo i nie kłamałam o nich ani nie starałam się zadawać im rany.

— Wiem o tym — powiedział Helder z drwiącą uniżonością — mówią o pani, że jesteś, powiem, grzeczna?

— Może pan mówić, co się panu żywnie podoba. Ja powtarzam tylko, że kto oskarża Comstocka Bella, że jest fałszerzem, jest albo wielkim wariatem, albo wielkim kłamcą.

Zmarszczyła brwi.

— Interesuje mnie to — rzekła, patrząc na Golda i wyciągając z torebki wycinek gazetowy.

— Czy to pański inserat<sup>64</sup>? — zapytała. — Przyszłam w tej sprawie do pana.

Gold skinął głową, rzucając okiem na wycinek.

— Ciekawy zbieg okoliczności, że to zauważyłam — rzekła. — Czytałam to we Włoszech. Niejeden z nas potrzebuje banknotów tysiącfrankowych — uśmiechnęła się — ale nikomu nie wpada na myśl ogłaszać się w tym celu.

Teraz Helder pochylił się przed siebie. Kto ogłosił, że poszukuje tysiącfrankówki? Gold chętnie obszedłby się bez obecności Helder, ale było już za późno.

— Czy wolno zobaczyć ten wycinek? — podchwycił Helder.

Gold wręczył mu kawałek gazety. Tekst był potrójny: w języku angielskim, esperanto i francuskim, i zawierał prośbę, by posiadacze banknotów tysiącfrankowych liczbowanych 687642–687653 porozumieli się z policją francuską lub Wentworthem Goldem.

<sup>64</sup>inserirat (daw.) — ogłoszenie. [przypis edytorski]

Helder czytał z wzrastającą trwogą.

Nie rozumiał. Było coś złowrogiego w tym ogłoszeniu.

— Co w tych notach<sup>65</sup> jest nadzwyczajnego? — spytał.

Pani Granger Collak jak gdyby zapomniała o jego obecności. Wyjęła z otwartej torebki banknot i wręczyła go Goldowi.

— Oto jeden z tych banknotów, których pan poszukuje, a który znalazłam u siebie. Czy dobry?

Gold wziął banknot i oglądał go ze znużeniem na wszystkie strony.

— Mocno żałuję, że muszę zaprzeczyć — odpowiedział — jednakże jestem gotów zwrócić pani pełną nominalną wartość.

Starał się mówić zwykłym głosem, jednak głos jego drżał ze wzruszenia.

Helder, patrząc na niego, zatrwożył się jeszcze silniej. Odgadywał raczej, nie mając całkowitej pewności, że był to jeden z banknotów, które puścił w obieg, nie zdawał sobie jednak sprawy z różnicy, która zachodzić mogła między prawdziwymi sztukami a jego falsyfikatami. Puścił takich not dwa tysiące w obieg. Znał Golda dostatecznie, by nie ludzić się, że ten wyjawia mu sekret. Myśl ta zaprzętała jego umysł do tego stopnia, że odeszła go ochota dalszej wymiany słów z panią Granger Collak. Wstał z miejsca i sięgnął po rękawiczki i kapelusz.

— Pomówimy jeszcze innym razem w tej sprawie, panie Gold — rzekł.

Detektyw skłonił mu się ozięble. W jego oczach błyszczało zadowolenie. Helder nie widział go jeszcze w tak dobrym usposobieniu.

— Do widzenia, *mistress* Granger Collak — zwrócił się do niej Helder, podając jej rękę.

Uśmiechnęła się doń drwiąco i udawała, że nie widzi jego wyciągniętej dłoni.

— Do widzenia — rzekła — musi mnie pan odwiedzić... gdy będę znów na wodzie!

— Czy mam czekać aż tak długo? — zapytał.

Pytanie to sprawiło mu małą satysfakcję, czuł to sam, nie mógł jednak znaleźć chwilowo nic mądrzejszego do powiedzenia.

\*

— Tiger, musicie mi zrobić pewną przysługę — powiedział Helder.

Spotkali się w Hyde Parku. Szli z wolna w kierunku ogrodów kensingtonskich<sup>66</sup>, gdzie rzadko spotyka się spacerujących.

— Przypomnijcie sobie dokładnie — ciągnął Helder — wszelkie okoliczności, wśród jakich drukowano francuskie noty.

— Pamiętam doskonale — odparł Tiger i opowiedział mu wszystkie okoliczności z dokładnymi szczegółami.

— Czy poza wami był ktoś przy robocie?

Tiger potrząsnął głową.

— Nie, sam wziąłem je z maszyny i wysłałem je.

— Czy nikt nie mógł mieć ich w rękach?

— Nie, niemożliwe.

— Nikt ich nie tknął? — nalegał Helder.

Tiger Brown zawahał się.

— Chyba — odpowiedział — Maple. Pan pamięta, że Maple chciał widzieć je po wydrukowaniu, aby zrobić jakąś próbę płynu czy coś podobnego.

— Już wiem — rzekł Helder w skupieniu. — Więc on miał parę sztuk u siebie. Czy był z nimi sam w pokoju?

— Tak, zostawiliśmy go samego, aby dokonał próby.

— Potem je przeliczono?

— Tak, ja sam odebrałem je z powrotem i przeliczyłem. Były to pierwsze noty, któreśmy puścili w obieg, gdyż, skoro Maple uznał je za dobre, można je było puścić.

— Ile ich było? — nagle Helder spytał.

<sup>65</sup>nota — tu: banknot. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>ogrody kensingtonskie — jeden z parków królewskich w dzielnicy City of Westminster. [przypis edytorski]

— Dwanaście — odpowiedział tamten.

Helder zaklął głośno.

— Tyle właśnie, ile Gold poszukiwał — zamruczał do siebie. — O ile Maple pozwolił sobie zakpić z nas, na Boga... — nie dokończył.

Nie, to nie były kpiny, to było coś gorszego. Zastanawiał się, co to mogło być takiego. Radość Golda musi mieć jakieś uzasadnienie. Gold zachowywał się jak ktoś, co dostał w swoje ręce klucz otwierający mu zamek, dotąd niedający się otworzyć. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa te noty, o które mu chodziło w ogłoszeniach, zawierają ów tajemniczy klucz.

Zasiadł przy biurku i napisał tuzin telegramów. Były adresowane tak do Europy, jak i do Ameryki, szyfrem używanym przez syndykat fałszerzy. Po napisaniu wręczył je Brownowi.

— Nadajcie to natychmiast — dał mu instrukcję — i przyjdźcie po mnie za godzinę. Spotkamy się przed Manor House'em<sup>67</sup>, u bramy parku Finsbury.

O umówionej godzinie zajechał swym wielkim wozem przed bramy parkowe, gdzie już Brown czekał na niego. Brown wskoczył do wozu.

Ciemność zalegała już drogi, gdy zbliżali się do domku wiejskiego.

\*

Gold, który został sam w pokoju z panią Granger Collak, nie tracił czasu. W paru słowach opowiedział jej całą historię zniknięcia Comstocka Bella. Nie była jej ta sprawa obca, cała bowiem Europa rozpisywała się o tym. Nie wiedziała jednak, że próbowano wmieszać Bella w niegodziwe fałszerstwa pieniężne.

Gold rzadko mylił się w swoich sądach o ludziach, z którymi miał do czynienia. Wiedział, że mógł zaufać tej kobiecie, o której lojalności względem Comstocka Bella był przekonany. Ułożył noty leżące przed nim na stole i zapalił piecyk gazowy. Następnie zadzwonił i, gdy służący się zjawił, kazał mu przynieść dzbanek mleka. Po odejściu służącego Gold wyjął szkiełko powiększające i pokazał pani Granger Collak drobnieutkie literki znajdujące się na grzbiecie noty. Przeczytała.

— Ale mleko? — zapytała zmieszana. — Co ma mleko z tym do czynienia?

— Zaraz pani się dowie — odpowiedział Gold.

Wziął dzbanek, włożył notę do talerzyka i nalał z góry nieco białego płynu. Następnie wyjął notę, potrząsnął nią, aby dać spłynąć z niej zbytecznym kroplom mleka i potrzymał ją nad ogniem.

Siedziała w milczeniu i obserwowała go. Po chwili Gold ukazał jej wysuszony banknot. Ze zdumienia aż oczy wytrzeszczyła.

— Coś takiego! — zawołała.

Grzbiet banknotu pokryty był szeregami zdań, które wystąpiły na jaw pod działaniem mleka i gorąca.

Odczytali widocznie ciekawą wiadomość, gdyż zaraz potem Gold ujął słuchawkę telefoniczną.

— To całkiem proste — rzekł, gdy zeszli na dół i czekali na automobil, który miał sprowadzić ludzi ze Scotland Yardu. — Jest to znany sposób tajnego pisma. Należy zwilżyć wargami pióro i pisać. Pismo to będzie całkiem niewidoczne, póki mleko i ciepło nie wyjawi go. Na tym polega cały *trick*.

\*

Helder zatrzymał wóz przed domkiem i zapukał. Zwykle brama otwierała się natychmiast, tym jednak razem musieli nieco czekać, aż głos odsuwanych ryglów dał się słyszeć od wewnątrz. Brama została z przezornością otwarta i Helder wślizgnął się wraz z Brownem.

Clinker wyjaśnił zwłokę.

<sup>67</sup>*Manor House* — obszar północnego Londynu bezpośrednio graniczący z parkiem Finsbury. [przypis edytorski]

— Maple jest chory — powiedział lakonicznie.

— Będzie z nim o wiele gorzej, gdyż skończę z nim niebawem.

Udał się wprost do komory na poddaszu. Maple leżał na łóżku. Twarz jego była blada i ściągnięta, oczy wgłęb zapadłe, wargi powleczone chorobliwie siwą barwą. Z chwilą wejścia Helder otworzył oczy, lecz nie zwrócił ich nawet w stronę wchodzącego.

Jednym spojrzeniem w stronę chorego Helder uprzytomnił sobie, że człowiekowi temu niewiele godzin pozostało do końca życia.

— Od jak dawna już tak leży? — zapytał.

— Od wczoraj — powiedział Clinker. — To przychodzi zwykle z tego, jak ktoś, co lubił przedtem bardzo pić, nagle przestaje.

Helder usiadł obok łóżka, trzymając ręce w kieszeniach, i głowę pochylił przed siebie, patrząc spod brwi na umierającego.

— Maple — szorstko odezwał się do niego — czy przypominacie sobie tę paczkę francuskich banknotów, które dostaliście do ręki?

Maple uczynił słaby ruch głową.

— Przypominacie sobie? — natarł Helder. — Co zrobiliście z nimi?

Maple zamknął oczy z miną, jak gdyby ta sprawa już go więcej nie obchodziła.

— Co zrobiliście z tymi notami? — powtórzył Helder. — Mówcie!

Ujął chorego za kościste ramię i potrząsnął nim z dzikością.

— Muszę wiedzieć, słyszycie? — cisnął. — Muszę wiedzieć, jak stoję. Co zrobiliście z tymi notami?

Zaczął znów potrząsać nim z całej siły. Tamten jął szczękać zębami i ledwo widoczne łzy spłynęły po jego policzkach. Mimo to umierający zaciskał szczęki z tym większą zaciekłością.

— Ja... — zaczął Helder błady z wściekłości.

W tej chwili Brown, który był dotąd niemym świadkiem rozgrywanej się sceny, ujął go za ramię.

— Jakiś automobil nadjeżdża — szepnął.

Nadsluchiwali. Słyszeli sapanie maszyny.

— Mam zejść prędko na dół? — rzekł pytająco Brown.

Zeszli obaj, zamknąwszy wprzód drzwi komory za sobą. Przyłgnęli do drzwi wchodowych. Słyszeli, jak ktoś wyszedł z automobilu i, zbliżywszy się do drzwi, zapukał głośno, rozkazująco.

Helder położył palec na ustach, nakazując milczenie. Dało się słyszeć ponowne pukanie i trzech ludzie spojrzeli po sobie.

Nagle głęboki, wyraźny głos przedarł się zza drzwi.

— Otworzyć, w imieniu Jego Królewskiej Mości!

Brownowi twarz poszarzała jak olów.

— Policja! — zadyszał, rozglądając się za jakimś możliwym wymknięciem się z niebezpiecznego miejsca.

Helder nie stracił przytomności umysłu. Wóz jego znajdował się w małej przybudówce z tyłu domku.

Poprowadził ich szybko przez kuchnię ku tylnej ścianie. Przezornie wyglądął z okienka. Nikogo nie było. Odrzynał drzwi i wysunął się, tamci za nim. Dobiegli do budy.

— Skokiem! — zakomenderował Helder i wszyscy trzej znaleźli się w aucie.

Wiedział, że turkot maszyny może zwrócić na nich uwagę policji, nie było jednak czasu do stracenia.

Wyciągnął z kieszeni dużą jedwabną chustkę do nosa i obwiązał nią twarz, tak że widać było tylko oczy i kawałek czoła pod kapeluszem.

Wóz rzucił się przez nierówną powierzchnię podwórza ku drodze. Helder, siedzący przy kierownicy, spostrzegł dwóch ludzi wybiegających z domu, lecz parę minut zyskał już na czasie i, o ile droga nie była strzeżona na drugim końcu, nie byłoby trudno uciec do Londynu. Nie wątpił wprawdzie, że został już zdemaskowany, jednakże rzucił w grę ostatnią kartę i szczęście sprzyjało mu niebywale także tym razem.

## ROZDZIAŁ X. WILLETTS

Gold widział uciekające auto.

— On może poczekać — powiedział do swych ludzi i skierował się do wejścia do budynku.

Zastanawiając się nad sposobem otworzenia bramy, uprzytomnił sobie, że uciekinierzy musieli zostawić otworem inne jakieś wejście, i zwrócił się wraz ze swymi dwoma ludźmi ze Scotland Yardu na tyły budynku. Drzwi, którymi Helder uciekł, były nieprzymknięte. Proste urządzenie wnętrza domu czyniło przeszukiwanie nietrudną rzeczą. Drzwi prowadzące do pokoju Maple'a nie były zamknięte na klucz i Gold stanął u łóżka leżącego.

Na pierwszy rzut oka uderzył go widok Maple'a, oczywiście umierającego. Pierwszym jego zajęciem było posłać po lekarza. Chory leżał, rzucając się na poduszce, wydając słowa bez żadnego związku. Gold rzucił szybkie spojrzenie wokół pokoju. Ujrzał mnóstwo nieukończonych płyt, oczywiście wykazujących, do jakiego celu ten dom służył. Dalsze poszukiwania zdawały się zbyteczne. W niedługą chwilę wszedł detektyw z lekarzem.

— Obawiam się, że nie damy rady przetransportować go — orzekł lekarz po krótkim zbadaniu chorego — serce jest słabe, nadto jest prawdopodobieństwo innych komplikacji, których nie jestem obecnie w możności stwierdzić.

Gold spojrzął na zegarek.

— Oczekuję tutaj jego bratanicy — rzekł — dałem jej znać. Przypadkowo udało mi się odnaleźć miejsce jej pobytu i skomunikowałem się z nią telegraficznie. Gdzie jest najbliższa poczta?

— W Royston<sup>68</sup> — rzekł lekarz — autem zajedzie pan tam w dwadzieścia minut.

Nie było czasu do stracenia. Musi się natychmiast porozumieć z policją i zabezpieczyć przyaresztowanie Helder. Miał aż nadto dowodów.

Zasiadł przy stoliku w dużej sali dolnej i prędko jął pisać. Był w połowie pisania, gdy wszedł jeden z detektywów.

— To pani Bell, na którą czekam — rzekł Gold.

Zostawił pismo na stole i wyszedł. Z auta wyskoczył rosły mężczyzna, dobrze znany Goldowi.

— Bell! — zawołał ze wzruszeniem.

Bez słowa Comstock Bell wszedł do pokoju. W świetle wiszącej lampy twarz jego była blada i ściągnięta.

— Gdzie moja żona? — spytał.

— Czekam na nią — odpowiedział Gold z pewnym zdziwieniem.

Na twarz młodego człowieka wystąpił wyraz lęku.

— Gdzież... — zaczął Gold.

— Później, później — odparł tamten.

— Spotkałem na drodze wóz mojej żony. Miał defekt i szofer powiedział, że żona moja musiała podążyć tutaj. Czyżby zgubiła drogę?

Gold potrząsnął głową.

— Nie, to niemożliwe. Musiała wrócić z powrotem do Londynu. Dam jej znać przez jednego z moich ludzi i wrócimy twoim wozem do miasta.

— Gdzie jest Maple? — zapytał Comstock Bell.

— Na górze — odpowiedział Gold z powagą w głosie.

— Czy nie żyje? — z przerażeniem spytał Bell.

— Nie, żyje jeszcze — powiedział Gold — boję się jednak, że nie pociągnie długo.

— Czy jest przytomny?

Lekarz, który w tej chwili schodził na dół, dosłyszawszy pytanie, odpowiedział:

— Owszem, jest w tej chwili przytomny, lecz trzeba by go zostawić w spokoju.

Comstock Bell zawahał się.

— Ta sprawa dotyczy mojego całego życia — rzekł. — Gdybyśmy go zostawili w spokoju, można by go jeszcze ocalić?

Lekarz potrząsnął głową.

<sup>68</sup>Royston — miasto w hrabstwie Hertfordshire, 61 km na północ od centrum Londynu. [przypis edytorski]



— W takim razie muszę z nim mówić — rzekł Comstock Bell stanowczym głosem.  
— Chodźcie ze mną!

Wszyscy trzej poszli na górę. Maple leżał w łóżku z głową podpartą na poduszkach. Uśmiechnął się słabo do Golda, który pierwszy wszedł do pokoju, ujrawszy jednak rosłą postać Comstocka Bella, rozszerzył oczy i wargi zadrżały mu z pełnego obawy wzruszenia.

— Comstock Bell? — szepnął.

Tamten kiwnął głową i przystąpił z wolna do łóżka, usiadł obok na jedynym krześle znajdującym się w pokoju i ujął chorego delikatnie za chudy przegub prawej ręki.

— Skąd się tu wzięłeś? — słabym głosem zapytał Maple.

Comstock Bell po lekkim wahaniu z wolna odpowiedział:

— Przychodzę wprost z więzienia.

— Z więzienia? — szepnął Maple.

Comstock Bell skinął głową. W pokoju panowało śmiertelne milczenie. Gold zdawał sobie sprawę z tego, że w życiu Bella zaszedł punkt przełomowy. Patrzył na wysmukłą postać młodego człowieka i jego wychudłą twarz, ze współczuciem pochyloną nad łóżkiem.

— Z więzienia — powtórzył. — Przed laty w Paryżu popełniono zbrodnię sfalszowania banknotu. Dwaj studenci byli wmieszani w tę aferę. Jeden z nich był sprawcą fałszerstwa, a zarazem puścił falsyfikat w obieg, drugi zaś nie wiedział wcale o tym, że jego przyjaciel dopuścił się tak rozpaczliwego kroku. Uważali to za żart. Ktoś rozpoznał obu i, gdy sprawa wyszła na jaw, opuścili Francję. Przez jakiś czas nie rozpoznawano tożsamości obu młodzieńców.

Tomasz Maple leżał, patrząc nieruchomo w sufit, przy czym jego wargi ściągały się w niewypowiedziane słowa.

— Parę miesięcy temu — ciągnął Comstock Bell — ja, niewinny współnik tej zbrodni, oddałem się w ręce w policji, albowiem wyrzuty sumienia nie dawały mi nigdy spokoju i wiedziałem, że policja jest na tropie Willettsa. Pod nazwiskiem Willettsa zostałem skazany na odcierpienie kary.

— Przecież Willetts nie żyje — zauważył Gold. — W jakim celu uczyniłeś to szaleństwo?

— Willetts żyje — odparł Comstock Bell.

Człowiek leżący w łóżku uśmiechnął się ledwo widzialnie.

— Tak — szepnął cicho — żyje... ja jestem Willettsem.

Przewrócił się na drugi bok i ciągnął dalej, jak gdyby do siebie samego. Z wielką trudnością pochwycili jego szeptanie.

— Jam jest Willetts — ciągnął — biedny Tomasz Willetts; nazwisko „Willetts” здавало mi się już wymarłe w zupełności.

Milczał przez długi czas, tak że myśleli, że zasnął. Lekarz pochylił się nad nim, z lekka dotykając jego twarzy.

— Nie żyje — oświadczył.

\*

W godzinę potem Comstock Bell i Gold byli na drodze do Londynu. Nastąpiły wzajemne wyjaśnienia.

— Wyjechałem dziś rano z Chelmsfordu — rzekł Comstock Bell. — Darowano mi karę na skutek starań francuskiej policji, było to dzieło Lecomte'a, i udałem się wprost do Southend<sup>69</sup>, gdzie moja żona urządziła sobie walną kwaterę.

Gold okazał zdumioną minę, zaczem<sup>70</sup> Comstock Bell udzielił mu w dalszym ciągu związłego wyjaśnienia.

— Kiedy powziąłem postanowienie poniesienia dobrowolnej ekspiacji<sup>71</sup> zbrodni, o którą zostałem oskarżony, rozglądałem się za osobą, której mógłbym bezwzględnie zaufać. Postanowiłem się ożenić. Plan mój polegał na zatajeniu mojego pobytu w więzieniu.

<sup>69</sup>Southend-on-Sea — miasto na wybrzeżu południowej Anglii. Znajduje się w nim najdłuższe moło na świecie. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>zaczem (daw.) — w związku z czym, wobec czego. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>ekspiacja — okupienie winy, pokuta. [przypis edytorski]

W tym celu zakupiłem niewielki holownik, który kazałem odpowiednio urządzić. Celem moim było, aby mój agent mógł swobodnie i niezauważony odbywać drogę do i z Londynu. Było mi to potrzebne z wielu przyczyn. W dniu, w którym opuściłem Anglię, aby oddać się spędzeniu miesiąca miodowego, pożeglowałem nie dalej jak do Boulogne<sup>72</sup>. Holownik zawrócił ze mną z powrotem do jednego z portów angielskich, skąd wraz z żoną udaliśmy się koleją do Londynu. W tymże dniu oddałem się w ręce władzy. Pech chciał, że widziano moją żonę w domu. Była tam, aby odszukać pieczętkę, którą przez zapomnienie zostawiłem w domu.

— Teraz rozumiem — rzekł Gold.

Przez jego umysł przemknęło się wspomnienie tajemniczego pojawienia się Verity Bell.

— Datę wypuszczenia na wolność dałem znać mojej żonie — ciągnął Comstock Bell — i umówiliśmy się, że będzie czekać w Southend. Wiedziałaś o tym, że ona tam była, nieprawdaż?

Gold skinął głową.

— Wiedziałem o tym. Nie wiedziałem tylko, że to jej walna kwatera.

— Ku mojemu zdziwieniu — rzekł Comstock Bell — nie zastałem jej. Natomiast zastałem tam twój telegram wzywający ją do domku na drodze do Cambridge.

— Pozostaje tylko jedna rzecz do zrobienia — rzekł Gold. — Możesz najspokojniej resztę pozostawić policji londyńskiej; my zaś udamy się do twojego holownika, gdyż być może, że twoja żona w międzyczasie tam już się znajduje.

Comstock Bell zawahał się.

— Mogła wrócić się do Londynu, aby się z tobą zobaczyć — powiedział.

— W takim wypadku jest całkiem bezpieczna — rzekł Gold. — Na szczęście nie jesteśmy daleko. Możemy zawrócić z drogi przy najbliższej wiosce. Z tej strony Waltham Crossu prowadzi najbliższa droga do Southend.

Nie było trudno znaleźć drogę. Holownik stał nieco oddalony od brzegu i o tej porze nocy nie byłoby łatwo dostać przewoźnika, który by ich przewiózł do statku, lecz nieopodal Lauder czekał na nich.

Jego nowiny nie były pocieszające. Pani Comstock Bell dotąd jeszcze nie powróciła.

— Lecz jeśli pan pójdzie ze mną na statek, *sir* — rzekł — mam dla pana pewną wiadomość, która okaże się pomocna.

Popłynęli ku *Seabreakerowi*.

— Chodzi o tego Helderę — rzekł skiper. — Mam wrażenie, że on ma coś do czynienia ze zniknięciem pani.

Przeszli do małego saloniku, który nosił ślady ręki kobiecej, albowiem te dwa saloniki stanowiły mieszkanie pani Comstock Bell.

— Żeglując po rzece tam i z powrotem, jak to zwykle czynię — rzekł skiper — nie omieszkalem zauważyć wszystkich możliwych budowli, które są po obu brzegach. Trzy miesiące temu zauważyłem nową budę okrętową na brzegu Essex, między Tilbury<sup>73</sup> a Barking<sup>74</sup>. Uważałem to za dziwne miejsce dla luksusowego okrętu.

— Luksusowego okrętu? — podchwycił Gold.

Skiper skinął głową.

— Tak — ciągnął — jedna z najładniejszych motorówek, jakie kiedykolwiek widziałem, a przy tym nadająca się do długiej podróży morskiej. Widziałem, jak dokonywano z nią prób. Od tego czasu stoi wciąż i nie widziałem jej ani razu w wodzie. Codziennie jakiś człowiek przychodzi, by jej doglądać, i o ile mój syn zdołał dowiedzieć się od tego człowieka raz, gdy staliśmy blisko budy okrętowej, to ona jest dostatecznie zaopatrzona na podróż morską co najmniej przez dziesięć dni z rządu.

— To dziwne — rzekł Gold.

Spojrzał na Comstocka Bella i widział, że opowiadanie Laudera wywarło na nim pewne wrażenie.

<sup>72</sup>Boulogne — miasto i region w północnej Francji. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>Tilbury — miasto portowe w Anglii na północnym brzegu Tamizy. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Barking — wcześniej miasto należące do hrabstwa Essex, aktualnie wschodnia dzielnica Londynu, zamieszkiwana w dużej mierze przez obcokrajowców. [przypis edytorski]

— Sądzę — ciągnął Gold — że to droga, którą Helder zamyśla wydostać się z Londynu, jakkolwiek nie uda mu się to tak łatwo. Na wypadek konieczności nie żałował zachodów i pieniędzy — przy tym ostatnim słowie Gold uśmiechnął się znacząco — aby wypróbować ucieczki.

— Tak, to Helder — wtrącił Lauder — w każdym razie człowiek, który doglądał okrętu, powiedział do mojego chłopca, że to Amerykanin.

— Najlepsza rzecz, którą możemy zrobić — rzekł Comstock Bell — to popłynąć do tej tajemniczej budy okrętowej. Nic na tym nie stracimy. Możemy pozostawić tam jednego z naszych ludzi, aby pilnował motorówki, o ile jeszcze nie wybrała się w drogę, a sami możemy wrócić do miasta.

Gold zgodził się i kapitan udał się na swój mostek. W parę chwil potem *Seabreaker* był w drodze, płynął po rzece przeciw przyptywowi. Noc była ciemna. Minęli trzy duże parowce idące z odpływem. Nie było śladu motorówki, aż zostawili za sobą Tilbury.

Nagle Lauder zawołał głośno:

— Tam coś idzie!

Przed nimi w pełnym pędzie długa, wąska motorówka przemknęła się między holownikiem a brzegiem Essexu.

Tyłna kabinka była oświetlona, nagle jednak światła w niej pogasły.

— Idzie mi nieco za prędko — rzekł kapitan — ale dopędzę ją, skoro dostanie się na wzburzone wody.

Bell wyteżył oczy w kierunku małego kadłuba. Mimo ciemności, para była widoczna, unosząc się spod tramu motorówki. Maszyny holownika pracowały obecnie z całą siłą i odległość między oboma statkami utrzymywała się bez zmiany.

— Być może, że to nie ta motorówka — rzekł Gold — lecz musimy zaryzykować. W każdym razie dziwny to okręt, co próbuje wymknąć się z Tamizy z zagaszonymi światłami.

W ciemności dał się słyszeć głos skipera.

— Ja to już robiłem w ostatnich czasach nie jeden raz.

— Uważam... — powiedział Comstock Bell.

Nagle ponad wody ze ściganego okrętu uniósł się przeraźliwy krzyk, po czym nastąpił drugi.

Kabina motorówki nagle rozbłysnęła światłem i ukazały się dwie sylwetki stojące tuż przy burcie okrętu.

Comstock Bell wyraźnie widział mężczyznę i kobietę. W chwilę potem sylwetki rozdzieliły się, gdyż jedna wpadła z okrętu w ciemną toń wody.

— To kobieta! — zawołał ochrypłym głosem.

## ROZDZIAŁ XI. HELDER WYMYKA SIĘ NA MORZE

W opuszczonej części szosy prowadzącej do Cambridge Helder, uciekający przed sprawiedliwością, napotkał wóz automobilowy o widocznym defekcie maszyny. Stał w ten sposób, że było konieczne zwolnić biegu, aby go ominąć.

Kobieta siedziała na skraju drogi, czytając gazetę. Szofer widocznie poszedł do najbliższego miasteczka, aby jakoś zaradzić zepsutej maszynie.

Nawet w chwili niebezpieczeństwa Helder nie dawał za wygraną, aby nie spojrzeć badawczo, jak to było jego zwyczajem, na spotkaną kobietę. Ona podniosła głowę, by rzucić okiem na odjeżdżające auto. Helder przycisnął nogą hamulec i maszyna ze zgrzytem zatrzymała się.

— Pani Comstock Bell, jeśli się nie mylę? — uśmiechnął się, szczerząc zęby.

Spojrzała nań bez najmniejszego lęku, panując w zupełności nad sobą, choć czuła, że nie była panią położenia, gdyż Helder był nader grubiański w takich chwilach.

— Poproszę panią o udanie się ze mną — rzekł.

Nic nie odparła na to. Wiedziała, że wszelka dyskusja byłaby zbyteczna, lecz rzuciła szybkie spojrzenie po zmierzchającej szosie. Nie było nikogo na horyzoncie i zdawała sobie sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa.

Helder stanął obok swojego wozu i otworzył drzwiczki zapraszająco, ale w jego zaproszeniu tkwiła raczej groźba.

— Nie pójdę — rzekła stanowczym tonem.

Chciała pertraktować, aby zyskać na czasie, lecz w tej krytycznej chwili nie mogła myśleć o czymkolwiek, co należałoby jeszcze powiedzieć, a Helder zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa zwłoki.

— Proszę wejść — szorstko rozkazał.

Wzdrygnęła się. On chwycił ją za ramię i na poły uniósł do wozu.

— Jeżeli pani będzie krzyczeć — powiedział, zwracając się do niej ze swego miejsca przy kierownicy — zabiję panią, rozumiano? Wdziej kaptur — rozkazał Brownowi.

Napięli rzemyki kaptura, gdy w oddali ukazały się światła innego wozu.

— Siadać z obu jej stron i trzymać jej ręce — rozkazał Helder — jeśli będzie krzyczeć, wpakować jej pięść.

Brown wahał się. W jego oczach zabłysnęło coś okrutnego, co Helder momentalnie zauważył i zrozumiał. Z kieszeni swej obszernej marynarki podróżnej wydobyl rewolwer.

— Nie baw się ze mną w ciuciubabkę — odezwał się do niego — słyszysz? Inaczej poczujesz to — zagroził mu rewolwerem.

W jego wściekłym głosie było coś nieludzkiego i Tiger opadł na swym siedzeniu zrezygnowany.

Minęli auto z całą szybkością. Noc była ciemna, gdy dotarli do Londynu. Pędzili po zaułkach z szybkością, która wydawała się kierowcy żółwim krokiem, jednak dla milczącego więźnia była wprost nieznośna. Helder unikał więcej zaludnionych dzielnic, okrążając je na przedmieściach, i gnał wytrwale w kierunku wschodnim, aż dotarli do zabrudzonych okolic Essexu i Londyn stanowił z dala jedynie lunę światła na niebie.

Helder ułożył sobie w drodze plan działania: od dawna już wszelkie przygotowania na taką niespodziankę były gotowe. Miał bądź wydzierżawione, bądź zakupione przez siebie większe i mniejsze wille i domki rozsiane po całej Anglii. Umiał ocenić wartość stałego miejsca pobytu i znał niebezpieczeństwo grożące zbrodniarzowi, który zmuszony jest do szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce.

W odległości dziesięciu mil od Barking znajduje się odludny pas kraju graniczącego z rzeką. Parę niezdrowych osad handlowych, miejsce lądowania statków powietrznych i skład jakiegoś handlarza węgla to było wszystko, co znajdowało się na brzegu.

Helder skierował się ku składowi węgla. Znał <sup>75</sup>drogę doskonale.

— Wsiądziemy tutaj — nagle powiedział.

Nie było ani jednego domu na odległość wzroku. Zdawali się jedynymi żyjącymi w tej wilgotnej i niezdrowej okolicy. Przed nimi wznosiły się wały węgla w regularnych warstwach. Verity raczej odgadywała, aniżeli widziała położenie drewnianych palisad, które określały granice posiadania hurtownika węgla. Przez chwilę opanował ją paniczny strach.

Helder schwył ją za ramię i na poły prowadził, na poły popychał przed siebie.

— Nie stanie się pani nic złego — rzekł — jeżeli pani będzie rozsądna — dodał.

Szli, potykając się co krok, przez jakiś kwadrans drogi. W ciemności Verity rozróżniła jakiś niski budynek, który stał na skraju rzeki. Przyплыł był znaczny i Helder wydał lekki pomruk zadowolenia.

W ciemności szukał wejścia do budy, otworzył ją i wepchnął Verity do wnętrza.

Tchnęło zapachem smoły i nafty.

Helder zaśwycił lampę i ujrzała się w dużej budzie okrętowej, w której na środku tłusto wysmarowanych tramów stała łódź motorowa. Przodem skierowana była ku bramie u drugiego końca, skąd widocznie był wstęp do wody.

Helder obserwował ją, gdy rozglądała się po wszystkim z niejakim zainteresowaniem.

— To moja łódź ratunkowa — rzekł, wracając do swojego starego, dobrego humoru, i wskazał na wielką barkę ze wzruszeniem — ona czeka na mnie, by mnie wyratować z rozbitego okrętu — dodał. — Czas najwyższy, by opuścić ten kraj.

Dwaj towarzysze oglądali łódź z ciekawością.

Tiger Brown, jakkolwiek był przestraszony czekającą nań perspektywą, nie mógł poświęcić okrzyku podziwu dla przewidującego chlebobdawcy:

— Patrzcie, to eleganckie!

<sup>75</sup> *снаć* a. *снадź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

— Ona jest zaopatrzona na dłuższą podróż i jest wspaniałym okręcikiem morskim — zauważył Helder.

Zawieszony na pułapie był stalowy łańcuch, u którego końca wisała rączka. Pociągnął ją na dół i brama u drugiego końca budy otworzyła się szeroko, ukazując ciemne wody rzeki.

— Wchodźcie — rzekł. Wskazał na drabinkę opartą o ścianę i Brown, przytwierdziwszy ją do łodzi, wspinał się pierwszy. Helder zwrócił się do dziewczyny.

— Nie pójdę — rzekła stanowczo. — Rób pan co się panu podoba, ja nie pójdę. Czy nie wystarczy panu to, co pan już ze mną zrobił?

— Uważam, że pani pójdzie, pani Comstock Bell — rzekł z namysłem. — Nie mam ochoty spotkać się z pani małżonkiem w więzieniu chelmsfordzkim.

Pobladła aż do warg i cofnęła się wstecz<sup>76</sup>. Helder zaśmiał się.

— Tak, ten wasz sekret był bardzo dobrze zachowany i dotychczas ja jestem jedyną żyjącą osobą w Anglii, prócz pani, która sekret ten zna. Uważam, że jakkolwiek rzecz ta się przedstawia, pani małżonek jest nieco przeczulony. W każdym razie zaoszczędzi pani i mnie, i sobie wiele przykrości, jeżeli pani nie będzie dalej upierać się przy swoim kaprysie.

— Mój mąż jest niewinny — rzekła dziewczyna z naciskiem — on cierpi za cudzą winę.

Helder skłonił się z grzecznością.

— Przeważnie mieszkańcy więzień są ludźmi niewinnymi. W ogóle cierpią za obrzęę dokonaną przez bliźnich — odparł. — Wejdz pani! — mówił tonem rozkazującym, brutalnym. — Wejdz pani — powtórzył ostro. — Pani jest mi potrzebna, konieczna i zabiorę panią ze sobą, jeślibym nawet... — nie dokończył.

Wiedziała, że opór jest daremny. Nie rozumiała i nie mogła sobie tego wytłumaczyć, w jaki sposób Helder odkrył tajemnicę, której strzeżeniu poświęciła całą swoją uwagę. Obawiała się, że nieposłuszeństwo w obecnej chwili pociągnie za sobą wyjawienie tajemnicy Comstocka Bella.

Rzuciła rozpaczliwie okiem po towarzyszach Helder. Brown okazał niechęć posłuszeństwa, lecz w tej chwili, gdy otwierały się przed nim widoki wolności, miał równie jak Helder w myśli jedno tylko: uciec jak najprędzej. Pozostał tylko Clinker. Nie widziała jednak w oczach Clinkera żadnego wyrazu sympatii. Ręka jej drżała, gdy ujęła drabinkę, by wspiąć się na łódź, nie okazywała zresztą żadnego lęku.

Helder szedł za nią, po czym odrzucił drabinkę.

Pochylił się nad tyłem statku, wyjął klin, na którym statek trzymał się w miejscu i poszybował gładko w wodę. Po chwili maszyny zaczęły się obracać, wydając głośny turkot, i motorówka popłynęła przodem skierowanym w dół rzeki.

Clinker i Tiger Brown udali się na przód okrętu, a Helder został sam z dziewczyną w małej tylnej kabynie. Zaświecił małą żarówkę, widocznie podtrzymywaną przez baterię akumulatorową pod siedzeniem. Verity posunęła się ku zamkniętemu otworowi na tyle statku.

— Może pani udzieli mi pewnych informacji? — rzekł po chwili.

Nic nie odpowiedziała.

— Sądzę, że mogłaby mi pani coś wyjaśnić — ciągnął niezrażony jej milczeniem. — Mam dostateczne pojęcie o pani ślubie z Bellem, natomiast ciekawy jestem, w jaki sposób udało się pani wujowi popełnić względem mnie zdradę.

Ściągnęła wargi jeszcze mocniej, aniżeli przedtem. W jej pięknych oczach błyszczała głęboka pogarda, co doprowadzało go do wściekłości.

Zagaśił jedną ręką żarówkę, a drugą schwyił ją brutalnie za przegub ręki. Szybkim ruchem wywinęła mu się i skoczyła ku tyłowi małej kabiny.

— Jeżeli pan zbliży się do mnie — rzekła stanowczym głosem — skoczę do morza.

— Nie ma się pani czego obawiać — odpowiedział śmiejąc się — pani jest zbyt drogocennym nabytkiem, abym miał panią skrzywdzić. Sądzę, że Comstock Bell ładnie zapłaci za panią.

<sup>76</sup>cofnęła się wstecz — błąd logiczny (pleonazm); popr.: cofnęła się a. zrobiła krok wstecz itp. [przypis edytorski]

Mówiąc to, posuwał się do niej bokiem, po czym, bez żadnego słowa, przyskoczył do niej i chwycił ją w swe ramiona. Wydała przeraźliwy krzyk, tak iż wśród ciszy nocnej zdało się, jakoby zbudziła wszystko, co ruszało się na całej przestrzeni sennej rzeki.

— Cicho! — zawył z wściekłością.

— Puść mnie pan! — krzyczała.

— Przrzeknie mi pani, że nie będzie pani więcej robiła wrzasków? — spytał.

— Puść mnie pan! — powtórzyła.

Puścił ją i wrócił w głąb kabiny.

— Proszę tu wejść — rozkazał.

— Zaświeć pan lampę — odrzekła.

Przycisnął guziczek i zabłysło znów światło. Ona nie ruszała się z miejsca, poza obrotem głowy. Wyprostowała nagle ciało.

— Dzięki Bogu! — usłyszał jej szept — *Seabreaker*.

Rzucił spojrzenie. Za nimi, w pełnym pędzie płynął holownik. W jednej chwili ogarnął niebezpieczeństwo.

Jednym susem znalazł się przy niej i przyłożył jej rękę do ust, po czym wyteżył się, by ją zawlec do kabiny. Przez chwilę mocowali się ze sobą, aż barka chwiała się pod nimi. Udało jej się wyswobodzić z jego rąk. Wysunął dłoń, by ją pochwycić, ale było za późno: rzuciła się głową przed siebie w wodę.

Do jego uszu doszedł przenikliwy głos maszyn holownika i uświadomił sobie, że jej czyn miał świadków. Szybkim krokiem skierował się do kabiny i zakreślił znów światło.

W tej chwili nadszedł Tiger Brown.

— Co się stało? — zapytał.

Helder chwilę nie dawał odpowiedzi. Wybuchając śmiechem, powiedział:

— Jeżeli uda nam się dostać do brzegu belgijskiego przed świtem, będziemy mieć niezwykle szczęście.

Spojrzał w tył. Odległość między nim a ścigającymi wzmogła się znacznie, albowiem *Seabreaker* zwrócił się bokiem i nie wątpił, że zniżono łódź, aby wyratować dziewczynę.

— Jakoś — mówił na poły do siebie — wątpię, czy dostaniemy się do kontynentu.

## ROZDZIAŁ XII. IRONIA LOSU

W ślicznym saloniku *Seabreakera* leżała Verity Bell, osłabiona, ale uśmiechnięta. Mąż jej siedział przy niej.

Holownik skierował się z powrotem w górę rzeki, a Gold, siedząc obok kapitana, rozważał skutki wysłanego telegraficznie zarządzenia, aby policja strzegła wybrzeża francusko-belgijskiego.

W saloniku tymczasem rozgrywała się pewnego rodzaju tragedia małżeńska. Wszak małżonkowie nieledwie nie znali się jeszcze wcale.

Verity leżąc rozmyślała nad spełnionym przez siebie zadaniem. Spełniła je w zupełności. Teraz — co?

Przez na wpół zamknięte oczy długo spoglądała na Bella, zanim uświadomił sobie, że wróciła do przytomności. Zauważyła jego wychudzone oblicze — wskutek dłuższego pobytu w więzieniu — jednak zadowolone i spokojne.

— Co dalej?

Jeżeli już nie jeden raz, leżąc tak w tym saloniku, zastanawiała się nad koniecznością rozwodu, teraz myśl ta, mimo całej zgrozy, jaka ogarniała ją na brzmienie tego słowa, narzucała jej się z tym większą siłą.

Plany Comstocka Bella były za to jaśniejsze. Nigdy jeszcze Verity nie podobała mu się tak bardzo, jak właśnie teraz. Właściwie dotąd Bell nie znalazł wcale czasu, aby jej się przypatrzeć dokładniej; nawet w tej chwili myśl o wielkiej usłudze, jaką mu ona oddała przez swoje poświęcenie się dla niego, nie pozwalała mu na branie tego jej zewnętrznego przymiotu do tego stopnia w rachubę, jak to inni bogacze na jego miejscu zwykle czynią.

Verity otworzyła oczy.

— Ach — odezwała się, spostrzegając Comstocka Bella. W głosie jej dźwięczała nuta, która musiała mu się wydać niezmiernie sympatyczna.

— Panią dziwi, że mnie widzi, prawda?

Nie zdobył się dotychczas na przemawianie do niej po imieniu, nie wspominając już o „tykaniu”<sup>77</sup>. Byli względem siebie na stopie przyjacielskiej, nic poza tym.

— Nie, bynajmniej — odpowiedziała ze spokojem — lecz fakt tej pozornej naturalności jest właśnie dziwny.

Nastąpiło dłuższe milczenie, które ona przerwała.

— Mój wuj — rzekła — czy on...

Comstock Bell kiwnął smutnie głową.

— Obawiałam się tego — łagodnie powiedziała. — Biedny wuj!

— Był za młody na mój wiek — dodała po chwili — bym miała nań patrzeć jak to się zwykle patrzy na tego rodzaju pokrewieństwo, był dla mnie jednak bardzo dobry. — Oczy jej zalały się łzami. — Jestem... — Urwała, a lekki rumieniec zabarwił jej twarz.

— Jestem? — powtórzył za nią cichym, pytającym głosem.

Potrząsnęła głową.

— Nic... nic — spiesznie odpowiedziała.

— Chciała pani powiedzieć, że pani jest sama na tym świecie — rzekł Comstock Bell, ujmując jej rękę w swoją — a jednak — z uśmiechem ciągnął — i ja nie jestem w lepszym położeniu.

Zrobił przerwę.

— Jesteśmy małżeństwem, wie pani — dodał.

W jej oczach odmalowała się wielka przykrość.

— Wiem o tym — odpowiedziała — wolałabym jakoś, by pan o tym nie mówił. Należy jednak zastanowić się nad tym.

Kiwnął głową, czekając dalszych wynurzeń.

— Widzi pan — ciągnęła, opierając głowę na dłoni — gdyby to było w powieści, winni byśmy żyć nader szczęśliwie, czego życzyłabym sobie z całego serca. Ale tak niestety nie jest. Mnie nie wolno niszczyć pańskiego życia...

— Ani mnie życia pani — przerwał.

— O mnie mniejsza — odpowiedziała z lekkim uśmiechem — moje życie byłoby w każdym razie zniweczone, gdybym panu odmówiła pomocy... a mogło się stać tylko tak, jak się stało. Widzi pan... — Wahała się. — Kiedy pan mówił mi o pańskich planach i o historii szaleńczego Klubu Zbrodniarzy... domyśliłam się.

— Czego?

— Że Willetts jest moim wujem. — Spojrzała nań z powagą. — Maple jest moim nazwiskiem, a wuj Tomasz przybrał sobie to nazwisko... z wielu powodów.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

— Nie możemy tak dalej żyć — podjęła Verity znowu. — Małżeństwo, które zawarliśmy ze sobą, nie jest moralnie obowiązujące... Ja jestem bowiem kobietą zdolną do kochania... żaden majątek ani zaszczyty nie zastąpią mi tego... Przypuśćmy, że kiedyś pokochałabym kogoś...

Spuściła powieki.

— Przewidziałem to już — łagodnie zauważył. — Jestem przekonany, że pani pokocha kogoś... i tym kimś będę ja...

\*

Motorówka Helderera borykała się z burzą. Helder stał przy sterniku. Tiger Brown leżał na wznak w małej dolnej kabinie.

— Czy nie moglibyśmy zawinąć gdzieś do małego portu i przeczekać burzę? — zapytał Helderera sternik.

Helder nic nie odpowiedział.

Po chwili dopiero zapytał:

— Musielibyśmy zawrócić. Gdzie jednak moglibyśmy wylądować?

Sternik zastanowił się.

— Moglibyśmy wrócić do Tamizy — odpowiedział.

Helder potrząsnął głową.

<sup>77</sup>tykanie — tu: mówienie do kogoś na „ty”, z pominięciem form grzecznościowych. [przypis edytorski]

— Nie — odparł — to byłoby zbyt niebezpieczne.

— A może w Clacton<sup>78</sup>? — rzekł sternik — tam nikt nas nie zauważy. Mamy jeszcze ze cztery godziny do świtu.

O godzinie czwartej nad ranem dziób łodzi motorowej uderzył o piaski między Clacton a Walton. Mała załoga wyszła na brzeg.

— Co zrobić z łodzią? — zapytał Tiger Brown. Helder zawahał się. Nie miał ochoty utracić łodzi, która stanowiła ostatnią deskę ratunku. Wiedział jednak, że rano strażnicy nadbrzeżni mogliby odkryć łódź i policja miałaby wiadomość o jego wylądowaniu w Anglii. Kazał więc zatopić łódź i puścił się z Brownem do Clacton.

— Dokąd pan idzie teraz? — spytał Brown.

— Wracam do Londynu — odparł Helder — i stamtąd dalej... zwyczajną drogą. A wy...

— Niech się pan o mnie nie troszczy — rzekł Tiger. — Dam sobie radę.

Poszedł z Clinkerem w swoją drogę, a Helder zwrócił się w stronę stacji kolejowej.

Miał szczęście. Udało mu się długą, okrężną drogą dostać do stacji południowo-wschodniej, gdzie niektóre pociągi zatrzymują się w drodze do wybrzeża.

Aż do Ashford<sup>79</sup> drzemał w pociągu. Wyszedł na platformę, aby kupić gazetę. Na pierwszej stronie uderzył go napis:

— Międzynarodowa banda fałszerzy: ucieczka i powrót przywódcy Heldera.

Gryzł wargi z wściekłości, czytając jak następuje:

„Scotland Yardowi udało się wytropić bandę, która od lat fałszowała odcinki dolarów amerykańskich. Ubiegłej nocy pan Wentworth Gold, szef sekcji detektywistycznej przy ambasadzie amerykańskiej, odkrył gniazdo fabryki fałszywych banknotów. Znajdowało się na drodze do Cambridge, w odległości jakichś 25 mil od miasta. Fałszerzom udało się jednak umknąć z Anglii w łodzi motorowej. Dalsze badania, względnie hipotezy, których z powodu spóźnionej pory nie podajemy w rozciągłości, nasuwają policji przypuszczenie, że Helder, który opuścił potem łódź motorową i wrócił na łódź angielski, znajduje się znów na drodze do wydostania się z Londynu regularnym okrętem pasażerskim, na którym spodziewa się wymknąć niepostrzeżenie do Europy.

Wszystkie okręty pasażerskie w Dover, Folkestone, Newhaven i Harwich są strzeżone.”

Nie było widoków wydostania się. Helder postanowił przedostać się do Liverpoolu i stamtąd na okręt odjeżdżający do Ameryki.

Miała to jednak już być jego ostatnia wyprawa.

Wczesnym rankiem następnego dnia Gold otrzymał telegram: Helder aresztowany w Queenstown.

Gold wszedł natychmiast do najbliższego pociągu, który zawiózł go do posterunku policyjnego, w którym umieszczono tymczasowo przywódcę fałszerzy.

— No, Gold — przywitał go Helder — udało się panu. Dostaliście mnie wreszcie.

Gold kiwnął głową.

— Tak — odparł — zrobił pan intensywną wycieczkę w ostatnich dwóch dniach.

Helder zaśmiał się z goryczą.

— Czy wie pan, w jaki sposób zostałem zaarrestowany? — zapytał.

— Nie — odparł Gold, zdziwiony tym zapytaniem.

— Byłem w biurze podróży, by zakupić bilet do Ameryki — ciągnął Helder. — Wręczyłem urzędnikowi dwie pięcioletnie angielskie. Nie zastanawiałem się wcale nad powodem zwlekania urzędnika z wydaniem mi biletu. W minutę później wszedł detektyw i przyaresztował mnie.

— Poznali pana — zauważył Gold.

Helder skrzywił twarz w tragicznym uśmiechu.

— Nie, nie poznali mnie — odpowiedział.

Gold podniósł brwi.

— Przecież pan nie wyrabiał angielskich banknotów — zawołał.

Helder potrząsnął głową.

<sup>78</sup>Clacton — angielskie miasto nad Morzem Północnym. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>Ashford — miasto w hrabstwie Kent. [przypis edytorski]



— Na tym polega ironia mojego losu — wytłumaczył Goldowi — jakieś obce fałszyfikaty dostały się w moje posiadanie.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wallace-splacony-dlug/>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Wallace, *Splacony dług*, tłum. L. On-Rut, Udziałowa Spółka Wydawnicza, Kraków 1929.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Ania Krzak, Maria Świetlik, Wojciech Kotwica, Zuzanna Pyzikiewicz.

ISBN 978-83-288-6318-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.